№ 29. Piątek, dnia 16 Kwietnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 4 (16) Kwietnia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

LICHWA I LICHWIARZE.

Lichwą, w najpowszedniejszem znaczeniu tego wyrazu, zwykliśmy nazywać wszelki większy, ponad wyznaczony przez prawo, procent, pobierany od wypożyczonego kapitału, przez kogoś wypożyczającego pieniądze.

Pojęcie to jednakże lichwy będąc z jednej strony najpowszedniejszem, jest jednakże i najciaśniejszem zarazem. Właściwie bowiem, *lichwą*, należy się nazywać wszelki zysk nadmierny, to jest przechodzący skalę uczciwego zarobku, osiągany przez nas, nie przypadkiem, przez jakowyś zbieg okoliczności i zrządzenie losu, — lecz z własnej naszej woli i wiedzy,—od kapitału czy też od pracy, których osoba inna, zmuszona koniecznością, od nas dla siebie zapotrzebuje.

Przy tem ostatniem określeniu *lichwy*, musimy zaraz nadmienić, iż pojęcie *uczciwego zarobku*, jak wyraziliśmy się powyżej, jest więcej względne, aniżeliby to komuś mogło się zdawać—w rzeczach ekonomii społecznej bowiem, wyraz *uczciwość* przybiera jeszcze nieco różne znaczenie od tego, jakie mu przypisujemy w świecie czystej etyki i moralności. W rzeczach handlu i przemysłu *np.* pojęcie to warunkuje się tysiącem względów i okoliczności... miejsca, czasu, większego lub mniejszego zbytu i t. p. które wszystkie wzięte pod rozwagę, stanowią dopiero o wysokości i stopniu cnoty, o jakiej mowa. Wiedząc o tem, nie myślimy też traktować *bezwzględnie* kwestyi, która w żaden sposób traktować się tak nie da, i używszy wyrażenia *uczciwy zarobek*, pamiętamy o tem, że czem innem nieco jest kupiec lub spekulant, a czem innem moralista lub ksiądz na ambonie.

Niemniej przeto, zapatrując się z takiego już nawet punktu, powtórzymy, iż ostatnie określenie nasze lichwy wydaje nam się właściwem i słusznem zupełnie, i że zatem,—co już wynika samo przez się,—więcej daleko mamy lichwiarzy pomiędzy sobą, aniżelibyśmy z pozoru przypuścić to mogli.

Kupiec, który wydawszy na zakupiony do sklepu swego towar trzy lub cztery tysiące rubli, każe sobie potem, przy rozprzedaży, zapłacić za tenże towar sumę przenoszącą dwa lub trzy razy rzeczony kapitał wraz z mogącym przypaść zań procentem — jest *lichwiarzem*.

Rzemieślnik... krawiec lub stolarz *np*.... który, dając komuś na tak zwany kredyt meble lub suknie, wymaga od dłużnika swojego, aby ten mu w terminie oznaczonym uiścił kwotę znacznie większą, od rzeczywistej wartości tychże rzeczy, (biorąc już na uwagę i procent nawet, jaki mu się za czekanie na swój pieniadz prawnie może należeć) — rzemieślnik taki jest *lichwiarzem*.

Lichwiarzem jest spekulant, który wiedząc napewno, że produkt jakiś przez zrządzenie wyjątkowych okoliczności ma za dni kilka lub kilka tygodni podrożeć, zakupuje go po cenie bieżącej u kogoś co o podobnej okoliczności nic nie wie, i spienięża wkrótce potem, z zyskiem bez porównania większym od tego, jakiego mógł sam się spodziewać, gdyby zysk tenże miał mu przypaść od *pracy* nie od... *oszustwa*.

Lichwiarzem jest właściciel domu, który bez żadnej rzeczywistej przyczyny, a tylko poprostu dla dogodzenia własnej rosnącej w nim ciągle chciwości, podwyższa komorne lokatorom, nie zważając wcale na prawdziwie krytyczne położenie z nich jednych, i widoczną nawet nędzę— drugich.

Takimże *lichwiarzem* będzie każdy wreszcie, który posiadając jakiekolwiek bogactwo w swem ręku, dzieli się niem z potrzebującymi, pod warunkiem, aby ci mu za usługę takową wypłacali procent, przechodzący znacznie stopę uważanego *w danym czasie* za godziwy zarobku,—procent taki jednem słowem, na który się ciż dłużnicy nie zgodzili nigdy, gdyby położenie ich było choćby o niewiele lepszem.

Ta ostatnia właśnie uwaga, może, zdaniem naszem, służyć zawsze za bardzo dobrą miarę według jakiej sądzić są wstanie, ci z panów, którzyby radzi przed własnem sumieniem wynajdywać nawet preteksty czy postępek ich względem drugich, w sprawach o jakich piszemy, godziwy jest lub nie. Społeczeństwo także ma możność według takiejże samej normy, wyrokować, jakich mianowicie ludzi z grona swojego, jest w prawie nazywać *lichwiarzami*, a jakich trzeba mu uważać za *uczciwych* tylko spekulantów korzystających godziwie z dobra, które im dał los lub własna praca.

Rzeczywiście, któż przedewszystkiem więcej na miano lichwiarza zasługuje, jak nie człowiek, który wyzyskując tylko krytyczne położenie drugich, każe sobie, w razie czynienia im przysług, płacić za też przysługi tyle, ileby za nie nie odważyli się nigdy wymagać od kogokolwiek, będącego w położeniu zwyczajnem?

Dlatego też powtórzymy raz jeszcze, iż ten wzgląd, moralnej czysto jak widzimy natury, winien właśnie równoważyć, wszędzie i zawsze, przy wszelkich też okolicznościach, które rodzi miejsce i czas dany, sprawy *spekulacyi finansowej*, jakkolwiek ta z pozoru zdaje się mieć mało wspólnego z etyką i z czystą moralnością.

Ponad całym poziomem najpozytywniejszych poglądów na interesy ekonomii—tu jednakże staje jasno i wyraźnie przed okiem choćby najzawziętszego spekulanta, widmo cnoty, której imię przywykł może uważać za pusty dźwięk tylko—mianowicie: cnoty *uczciwości*. Nie potrzebujemy się biedzić nad tem, jakby tu sumienie swoje uratować zarazem od wyrzutów, które je w przyszłości trapić mogą, *zbawić duszę* — jak sobie mówią niektórzy, i zarazem... nie umrzeć z głodu! Nic, zdaniem naszem, nie jest łatwiejszem jak być *uczciwym*... gdy kto nim tylko być chce i ma po temu niekłamane pragnienie.

Otóż i wszystko, cośmy chcieli powiedzieć, o względach czystej moralności mających równoważyć sprawę wziętą dziś przez nas pod rozbiór,—i o tem, o ile też względy wpłynąć mogą i powinny na zmniejszenie w społeczeństwie naszem plagi, która więcej od plag innych ciało jego toczy.

A teraz, schodząc na grunt więcej pozytywny, pomówmy o środkach, czysto już realnych i praktycznych, które, zdaniem naszem, byłyby w stanie zapobiedz złemu, o jakiem mowa.

Za takie zatem środki praktyczne, mogące jedynie położyć tamę rozszerzaniu się w społeczeństwie namiętności do lichwy, i tamę zarazem chciwości lichwiarzy, (a mówimy tu o lichwiarzach krwi czystej, dających na procent za piśmienną umową lub też na tak zwany zastaw, pieniądze), uważamy:

1-mo. Kassy zaliczkowe.

2-do. Zniesienie prawnej stopy procentu.

O pierwszym z tych środków mówić nie będziemy. Cel kas zaliczkowych jest tak jasny dla każdego,—dobro, któreśmy już dotąd od kas podobnych, gdzie te założone zostały, osiągnęli, jest tak widoczne, iż rozwodzić się nad niem uważamy za rzecz zbyteczną.

Ale, o ile zniesienie stałej stopy procentu, przyczynić się może do zmniejszenia złych skutków lichwiarstwa w społeczeństwie,—to kwestya, która jeszcze wielu debatom uledz będzie musiała, i dlatego ze swojem zdaniem nie do niej pospieszamy także.

Według nas zatem, zniesienie tak zwanej prawnej stopy procentu, jest w stanie najsil-

niej może przyczynić się do usunięcia *lichwy*.

Nie rozwodząc się długo powiemy, iż, gdyby następstwem tego zniesienia procentu nie miało być nic innego, tylko ułatwienie i rozszerzenie kredytu,—to już korzyść sama za siebie przemawia. A czyż kredyt nie rozszerzyłby się przez to, gdyby wszyscy ci z panów kapitalistów, którzy dziś pieniądze trzymając po kantorkach, kupony od nich tylko odcinają, zdecydowali się używać tychże pieniędzy na pożyczki osobom potrzebującym takowych, pod wpływem prostej uwagi, że za pobieranie procentu od dłużników swoich wyższego nad tak zwaną *prawną* dotychczasową stopę, nikt ich jednakże *lichwiarzami* nazywać nie będzie?

Jest wiele osób takich, które z obawy tylko samej zasłużenia sobie na nazwę powyższą,—widząc także, iż zysk, któryby osiągnęli z prywatnych pożyczek, (przy zachowaniu prawnej stopy procentu) byłby zbyt mały w stosunku do tego, jaki mogą osiągnąć przez inne spekulacye—trzymają swoje kapitały po bankach, lub pożytkują je tylko na zakupywanie listów zastawnych.

Że dziś tym bardziej, przy podrożeniu wszystkich w ogólności produktów do życia, dawna stopa procentu mało bardzo zyskowną wydawać się musi kapitalistom, — dziwić się wcale nie można.

Otóż, tacy panowie, widząc, że swoje kapitały mogą puścić w obieg prywatnych pożyczek bez żadnej straty ani moralnej, ani materyalnej dla siebie,—nie wahaliby się z pewnością zastąpić tym sposobem społeczeństwu wszelkie kasy zaliczkowe i kasy dzisiejszych lichwiarzy, z których pierwsze niezawsze są do spożytkowania, a drugie narażają na ruinę.

— Co mi za potrzeba—mówi sobie dziś niejeden uczciwy kapitalista — powierzać swój pieniądz w ręce jakiegoś prywatnego człowieka, kiedy ten, pożyczywszy go u mnie na procent ośmiu od sta na rok, co z pewnością nie wyniesie nigdy tego nawet, ile dawniej wynosiło 5 od sta, patrzy już na mnie przez ramię i nazywa mnie w najlepsze... *lichwiarzem!* Odcinając kupony, zachowuję sobie przynajmniej imię nieposzlakowane.

— Co mi tam po tych wszystkich aferach! —powiada inny jeszcze właściciel kapitału. Oddam pieniądze w ręce jakiegoś hołysza, który myśli tylko nad tem jakby kogoś oszukać, — to ten, pod pretekstem, żem wziął lichwę od niego biorąc 10 od sta na rok, otwarcie wyznaje przed przyjaciołmi swojemi, iż nie poczuwa się wcale do oddania mi pożyczonego grosza na termin! Nie ma to jak sobie oto dom kupić np. albo wziąć skład węgli w posesyą! Tu masz za komorne najmniej 12 od sta, a ileż razy i 20 i 40! tam... handel idzie—sprzedajesz—płacą—i rzecz skończona, jak mi Bóg miły!

Takie głosy słyszeliśmy sami nieraz z ust panów, którzy mogliby jednakże dużo zrobić ludziom dobrego, gdyby kapitały, jakiemi obracają, chcieli puścić na procent choćby niezbyt mały, w ręce osób prywatnych potrzebujących pożyczek. A główną przyczyną, uważaliśmy to najczęściej, że nie czynili tego, była nie tyle chęć większego zysku, boć listy zastawne nie mogły im dawać też wiele, ile właśnie obawa, aby za obroty podobne, nie zasłużyć sobie u znajomych i krewnych swoich, na miano lichwiarza.

W razie nie istnienia *stałej* stopy procentu, ten co daje pieniądze i ten co je u niego pożycza, pozostają na stopie swobodnej ugody, krępowanej tylko jedynie skrupułami sumienia i prawidłami ogólnie ludzkiej uczciwości. Ponad te względy, a względy to są jak widzimy bardzo w każdym razie ważne, nic więcej nie rodzi obaw, nie dopuszcza na szkodę drugiego obrachowywanych zamiarów, w duszy zarówno dającego jak też i biorącego zarazem. A nieuczciwość — musimy zanotować — raczej chęć nieuczciwych zarobków ze strony kapitalistów,—miarkowaną jest wówczas przez emulacyą, jaka się rodzi koniecznie wskutek namnożenia się osób, chętnych do udzielania pożyczek. Komu tu odmówią, ten znajdzie pomoc w innem miejscu—jeśli tu procent wydaje mi się za duży, idę do osoby, która mi na mniejszy potrzebowaną sumę pożyczy. Jednem słowem sprawa pożyczania pieniędzy schodzi wtedy zupełnie do poziomu zwyczajnego handlu i prawidła warunkujące handel, stają się zarówno jej prawidłami.

Projekt zniesienia stopy procentu był już powielekroć poruszany u nas — tu i owdzie oświadczano się za nim gorąco — ekonomiści wymieniali argumenty—wszystko to jednakże obracało się w sferze mniej więcej zawsze idealnej. Dalsze, szersze, podnioślejsze względy były zwykle na uwadze, i dlatego też rzecz sporna zostawała się wciąż *in statu quo*.

Sądzimy jednakże, że kwestya *lichwy*, którą dziś właśnie wzięliśmy pod rozbiór, stanowczo szalę na stronę *zniesienia stałej stopy*, przechylićby powinna.

To zdanie nasze oddajemy pod rozwagę łaskawym czytelnikom.

Teofil Tarcza.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

W chwili gdy król Henryk II żądał hołdu z czeskiego księstwa, już Henryk szwejnfurcki, Bruno brat rodzony króla, i Bolesław czeskopolski zawiązali przed Wielkanocą 1003 spisek, celem którego było strącenie Henryka II z tronu niemieckiego. Niezabawem jednakże tylko sam nasz Bolesław ze spiskowych jeszcze w Czechach się trzymał, reszta pobita, u niego szukała schronienia. Król udając wyprawę do Polski, gdzieindziej statki przewozowe gromadzi, a naraz w środku sierpnia 1004 r. zwraca się do Czech, by jej obecnego pana złudzonego podstępem swym, niespodzianie napaść.

Bolesław obsadził łucznikami przesmyki gór kruszczowych, ale ciężko zbrojni Niemcy snadnie ich pokonali. Czesi „radzi zawsze nowym panom" jak mówi Dytmar, w wierze niewzruszonej podobni do toczącego się koła, jak powiada Gallus—przyjmowali gorąco Jaromira, który ze swoją drużyną szedł z Niemcami Henryka. W Sadczu, mieszczanie wybijali załogę polską niewiedomo tak pożądaną tak energicznie, że aż król niemiecki musiał niedobitków przechować w kościele. Nawet skądciś wzięła się pogłoska, że zabito i Bolesława!

Niezabilić go wprawdzie Czesi, ale on własną, młodzieńczą pewnością w swe siły zmarnował dotychczasowe korzyści. Nichciał dzierżyć Czech tytułem lennictwa, a gdy przyszło do poparcia czynem swych zachcianek niezależności—znalazł.... tylko słowa wzgardy. Na jednej z Bolesława biesiad, gdy wesoło się bawi w Pradze; Niemiec, kapelan biskupa kołobrzeskiego Reinberna, zaczyna opowiadać o zbliżeniu się wojsk niemieckich, które już wszystkich spiskowców do Czech, na dwór Bolesława zegnawszy, wkraczały teraz przez wąwozy kruszczowe, w ziemie ostatniego. Na zapytania księcia, coby mówił, kapłan swą powieść powtarza, a Bolesław szyderczo na to się odzywa... „choćby jak żaby się wlekli, jużby mogli tu przybyć. To też żaby tak się wlokły a Jarcmir tak im z Czechami

U OGNISKA.

(—N.—) Mamy więc wiosnę i....... konkurs dramatyczny! Pierwsza wprawdzie, dotychczas przynajmniej, jakoś naraża nas na zawód i rozczarowanie.... czy i z drugim tak będzie? przesądzać nie mamy ani ochoty, ani śmiałości. Bądź co bądź, jak wiosna jest dotąd nie ustaloną i niepewną, tak i powodzenie konkursu dramatycznego, zdaniem niektórych pesymistów, ma być wątpliwem i niepewnem.

Miły Boże! co to za szkoda, że bez tych szkaradnych pesymistów nic u nas nigdy obejść się może. A są to ludzie, którzy muszą we wszystkiem dopatrzeć coś złego. Prawda, że spoglądają oni na świat i to wszystko co się na nim dzieje przez obrzydliwie zakopcone okulary i dlatego wszystko widzą w barwach czarniejszych od rzeczywistych, ale też nie ma nic takiego czemuby się nie starali przypiąć łatki. Bo i proszę cię czytelniku, co to naprzykład może komu szkodzić, że jakieś grono dobranych osób, chcąc uczcić zasługi jednego ze swoich członków, funduje mu wystawdy obiadek z homorami i jaskułczemi gniazdami, zroszonemi Ayapaną i Redererem? Toć przecie z dawien dawna wiadomo, że prawda mieści się na dnie kieliszka a łacińska maksyma *in vino veritas*, w wielkiem była u przodków naszych poszanowaniu. Wtedy najprędzej rozwiązują się języki; najszczersze życzenia płyną z ust każdego z biesiadników, wiwaty towarzyszą uściskom, a serdeczne uściski uzupełniają nawzajem niemą swoją pantominą szczere życzenia i wiwaty.

Albo gdy jaki wielbiciel talentu i zasługi, ofiaruje jakiej artystce lub artyście, laurowy wieniec z kosztownym upominkiem—co to zaraz krzyku dokoła! A przecie nikt się o pozwolenie pytać nie potrzebuje i każdemu wolno czynić co mu się podoba. Zgryźliwi pesymiści wołają zaraz: czy to nie lepiej było użyć tych pieniędzy na cele oświaty, utworzyć stypendyum, albo wreszcie oddać na jaki zakład dobroczynny np. na szpital dla dzieci. No proszę! jakby to kto miał prawo dysponować pieniędzmi z cudzej kieszeni.

Wyda ktoś świetny wieczór tańcujący, zastawi sute święcone, gdzie pod ciężarem szynek i pasztetów, tortów, bab i mazurków, szampanek, bocianek i wysmukłych flaszek z nadreńskim nektarem uginają się stoły—to i to ich zaraz kole w oczy, pytają: „skąd on na to bierze, bo to żona i trzy córki stroją się tylko w jedwabie, a wszyscy wiemy, że dochodów mu przecież tak bardzo wiele nie przybywa jeżeli owszem nie ubywa." I tak, człowiek, który chciał tylko dawny zwyczaj godnie uszanować, dostaje się na języki swoich przyjaciół, którzy jedzą z apetytem szynki i pasztety, piją z gustem węgrzyna i szampana a za oczy skrytykują i obmówią.

I to im nawet szkodzi, że bezpłatni lokatorowie czerwonego domu przy ulicy Leszno, *alias* aresztu dłużników cywilnych wydali w zeszłym tygodniu na przyjęcie świeżo do ich grona przybywającej pary... wieczorek tańcujący z muzyką i składkową kolacyą! A przecież śmiać się i bawić ma być bardzo zdrowo, a o zdrowie każdy starać się powinien.

I to im się także nie podoba (o ile sami

dopomagał, że wypadło nieopatrznemu lennikowi tajemnie w drogę się gotować, i kiedy dzwony na Wyszogrodzie dawały hasło Jaromirowi i Prażanom do wspólnej na Bolesława napaści, ten drugą bramą uchodził na czele jednego oddziału. Niedługo i Sobiebór z drugim pośpieszył za nim.... ale na moście dognali go Czesi Jaromira. Przyszło jeszcze raz do walki między zbiegłym do Polski, i spolaczałym Poraitą a synem mordercy jego rodu, nadarzyła się pierwszemu nowa sposobność do wywarcia zemsty. — Inaczej mieć chciała Nemesis dziejowa — Sobiebór na czele hufca przybylców zginął na moście pragskim 1004 r. jako nowy przykład jednakowej zawsze doli Koryolanów.

VIII
CÓRKA MARGRABI I CÓRKA KRÓLA.

Rozpatrując się w małżeńskiem pożyciu drugiego z dziejowych książąt polskich, znajdujemy w niem większą rozmaitość czynników aniżeli w zaślubinach Mieszka-Lamberta I. Siedem żon pogańskich, do których przybywa ósma chrześcijańska, i sprowadza oddalenie swych rywalek, wreszcie zakonnica będąca towarzyszką małżeńską starzejącego się księcia aż do jego zgonu, przedstawiają dwie fazy dość wyraźnie odkreślające się: pogaństwo i katolicyzm. Wielożeństwo i jednożeństwo bądź co bądź uwydatniają w łonie rodziny panującego zamianę pojęć religijnych.

Tegoż samego niepodobna powiedzieć o Wielisławie Magnusie. Skrajne owe formy stosunków między dwoma płciami mięszają się w życiu Piwosza-Chrobrego pod wpływem pobudek politycznych. Pomimo niewyrobienia się młodzieńczego, wśród objawów śmiesznego zuchwalstwa pierwszych lat jego rządów, natrafiamy na błyski dyplomatycznego rozmysłu, przeświecające nawet w majakach pogańskiej etyki, w której grzęźnie pomimo wszelkich zachceń chrześcijańskich.

Kwestya „odpędzań“ żon jest tu najcharakterystyczniejszą. Pierwszą żoną Bolesława była nieznana z imienia, córka Rykdaga margrabi Miśnii, który umarł, jak to już poprzednio napomknęliśmy, 985 r. Najbliższe zdaje się prawo do objęcia Miśnii po jego śmierci, miał syn jego Karol, a brat pierwszej żony Chrobrego. Jednakowoż, wolnemi i jednomyślnemi głosami mieszkańców pogranicznego rządcostwa Miśnii był powołany do objęcia go Ekihard duk Turyngii pretendent do korony niemieckiej po śmierci Ottona III, tak że sieroty po Rykdagu zarazem 985 r., znalazły się pozbawione i ojca i wszelkiego znaczenia hierarchicznego w Niemczech. Wszystko dozwala sądzić, że okoliczność ta niepozostała bez wpływu na losy pierwszej małżonki Bolesława-Magnusa, a mianowicie, książę ten widząc, że stosunki rodzinne z wydziedziczonemi margrabiami nierokują mu żadnych korzyści, a owszem mogłyby uchodzić w oczach Ekiharda, nowego margrabi, za objaw jakiejś głuchej protestacyi, odpędził od siebie Rygdagównę. Stało się to niezabawem po śmierci ojca, bo niema wskazówek by miała z Bolesławem dzieci, gdy węgierka jak ją nazywa po prostu Dytmar, a jak Długosz objaśnia: Judyta córka Gejzy I a siostra Stefana I poźniej kanonizowanego, powiła mężowi Bezbryma i wnet odpędzona (wedle Dytmara) ustąpiła miejsca trzeciej Hermenegildzie, której starszy syn urodził się 990, a jedna z córek w latach 1002—3 poszła do Niemiec za mąż, za syna Ekiharda. Najskromniej obliczając wiek tej ostatniej, zawsze jej wypada dać w chwili ślubu, choćby lat trzynaście [1]), co urodziny posuwa na 989 rok—a więc niepozwala później jak na rok 988 oznaczyć czas zaślubin Hermenegildy jej matki. Równie mały odstęp czasu kładąc miedzy urodzeniem Bezbryma i odpędzeniem jego matki Judyty węgierki, musimy jej małżeństwo co najwyżej odnieść do roku 987. Skoro zaś zważymy, że w rzeczywistości tak szybko te wypadki po sobie nienastępowały, że Reginhilda małżonka Ekihardowicza mogła być starszą o rok lub dwa lata nawet, otrzymamy bez żadnego naciągania w jednym roku 985: śmierć Rykdaga, odpędzenie jego córki przez Bolesława Magnusa, i ślub tegoż z Judytą. I ta to współczesność wprawdzie hipotetyczna, ale możliwa, dała nam powód do wyjaśnienia zmian nagłych w doli margrabianki względami politycznemi.

Czy te, czy inne pobudki były oddalenia Rykdagówny, jej bezpłodność w każdym razie nie grała w niem żadnej roli. Gdyż i Judyta, zaledwo miawszy czas powić swemu mężowi syna Bezbryma, podzieliła smutny los swej poprzedniczki. Dytmar wszelako daje także do zrozumienia jędrnem przezwiskiem Bolesława Magnusa (antiquus fornicator) „pogański rozpustnik,“ że niestałość ta jego w wierze małżeńskiej płynąć mogła z pogańskich jeszcze, krewkich, nałogów, którym dawniej, dozwolone słowiańskiemi obyczajami, wielożeństwo nie kładło dostatecznego hamulca. Po przyjęciu zaś chrześcijaństwa, istotnie szybka na pozór, żon zmiana czyli rozwody wynagradzały u niektórych Słowian ich stałą, a większą ilość. Tak naprzykład, papież Jan ósmy w latach 873—882 pisze w tej kwestyi do księcia Kotła (Chozila), władzcy słowiańskiego nad jeziorem Pelso (Balaton) w tak zwanej Rugii lub Ruginsvelt nad rz. Knesahą panującego, jak następuje: Wszyscy ci będą wyklęci (pisze papież) „coby swe żony porzucali, lub za życia jednych wchodzili w śluby z drugiemi.“ Przytem zalecał tenże papież Kotłowi, aby „niepozwolił żadną miarą dwom mężom, swe żony odpędzającym, tego dokonać.“ I w ruskich źródłach znajdujemy ślady tego brakowania żonami między ludem, który i dwóm małżonkom ślubował nieraz wiarę, i w ogóle, jak to nad Wisłą, do końca dwunastego przynajmniej wieku miejsce miało, obchodził się dla tego bez obrzędów kościelnych przy weselach.

Długoletnie też pożycie z Hermenegildą Bolesława osłabia znacznie zarzut krewkości, zmieniania łatwego żon niby sukien (li tylko dla względów zmysłowych) jak powiada Szajnocha. Raczej wypadnie tak temu trzeciemu jak pierwszemu małżeństwu Trąby-Chrobrego przypisać znaczenie polityczne, którego przynajmniej dotąd ze źródeł dla Gejzówny wyszukać się niedało, choć może przypuścić by się godziło. W takim razie w Bolesławie Magnusie istniałaby dziwna na pozór sprzeczność. Brałby żony, i chowałby im wierność, ze względów politycznych—a w kampanii czeskiej przez zarozumiałą chełpliwość traciłby owoc umiejętnie, na znajomości charakteru Rudego i Czechów, opartych zabiegów? Małżeństwo atoli z rozumu z Rykdagówną i Hermenegildą i dajmy na to, kaprys sercowy z Judytą mniej pono rażą w jednym człowieku, jak junacko dziecinny wykrzyk „a choćby się wlekli jak żaby“... obok dumnej odmowy hołdu z Czech, gdy go złożył z Polski, Łużyc i Milzawii, oraz ryzykownej intronizacyi Rudego po śmierci Władyboja; a jednak trzy ostatnie szczegóły z psychologicznych dziejów Bolesława, są faktami autentycznemi!

Z pamięcią Judyty węgierki wiążą się najdawniejsze nadania i uposażenia klasztoru Tynieckiago. Czyniła je ona pospołu z swym mężem Bolesławem, zgoła nieprzeczuwając, że tym sposobem dalekiej potomności przechowa choć słabe rysy stanu ludności wiejskiej na końcu X wieku w Polsce.

Już za wprowadzeniem chrześcijaństwa, przez Dąbrówkę i jej męża, cały okrąg Łowicki z dziesięciną, osadami i ich mieszkańcami

[1]) W starodawnych pomnikach prawa polskiego Z. A. Helcla II Nr. 232 zapisek sądowych, podaje rok dwunasty za aetas legitima sieroty dziewczyny w wieku XIV. Urban II papież 1096 także 12 rok dziewczyny za najwcześniejszy do małżeństwa uznał.

---

nie są właścicielami domów), że gospodarze warszawscy popodwyższali znowu komorne wszystkim swoim lokatorom, którzy tylko nie mieli na dłuższy czas porobionych kontraktów. Rzeczywiście, mieszkania doszły do cen bajecznie wysokich i nierzadko dziś się zdarza, że za lokal składający się z pięciu pokoi żądają ni mniej ni więcej tylko.... tysiąc rubli! Ależ panowie ci widocznie zapominają, że niektórzy ekonomiści uczą, iż kiedy produkt jaki krajowy wzrasta w cenie—to bogactwo krajowe się powiększa. Nie złorzeczyć więc ale owszem podziękować powinniśmy panom właścicielom domów za powiększenie krajowego bogactwa, boć przecież nie może być wątpliwości, że mieszkania warszawskie są produktem czysto krajowym, i że żaden z gospodarzy zagranicznych zobaczywszy prowadzące do nich sienie i schody, oraz wewnętrzny konfort w ich urządzeniu, przyznaćby się do nich nie chciał niezawodnie.

Cóż więc dziwnego, że tacy tetrycznie usposobieni ichmościowie i świeżo poczętemu dramatycznemu konkursowi, bezkarnie ujść nie dozwolili. Przyczepili się tedy do składu komisyi konkursowej i odzywali się nawat ze zdaniem, że pomiędzy dziesięcioma składającymi ją członkami (nie licząc prezydującego), większa połowa jest niekompetentnyyh, a już o emancypacyi, dzięki której dwie artystki zostały konkursowymi sądziami, niestworzone wygadują rzeczy i posuwają się nawet tak daleko, że przewidując przyszłość przepowiadają, iż konkurs się nie uda, bo piszący w trafność i niezależność zdania sędziów uwierzyć nie będą mogli... Ale to wszystko, miły czytelniku, wierutne bajki, rozpuszczane tylko, jak już wyżej powiedziałem, przez pesymistów i radzę ci nie wierz ani jednemu słowu z tego wszystkiego com wyżej przytoczył, a jeżeli sam jesteś autorem dramatycznym, nie szukaj cudzych bogów i nie waż się posyłać dzieła swego na konkurs krakowski, ale złóż je z całem zaufaniem komisyi konkursowej warszawskiej i potem czekaj spokojnie pomyślnego dla siebie wyroku. Jeżeli nie dostaniesz pierwszej nagrody to bądź pewnym drugiej, bo przecież panie Modrzejewska i Popiel, jako kobiety i z usposobienia już swego łagodne, zbyt surowymi sędziami być nie zechcą.

Tymczasem Kuryer Codzienny (nie wiemy czy należy także do obozu pesymistów) posiadając kapitał rs. 300, złożony sobie bezimiennie na konkurs dramatyczny, pragnął przyjąć udział w konknrsie powstałym z inicyatywy Jana hr. Fredry, lecz gdy ofiara jego i warunki przez komisyą konkursową uwzględnionemi nie zostały, Kuryer Codzienny powziął zamiar utworzenia oddzielnego konkursu i jak sam donosi już w tym celu przedsięwziął odpowiednie kroki.

Jest więc nadzieja, że nie jeden, ale dwa równocześnie będziemy mieli w Warszawie konkursy dramatyczne.

Dalej panowie tragedyo-dramato-i komedyo-pisarze szykujcie pióra wasze do walki o lepszą a dłonie wyciągajcie po nagrody i laurowe wieńce!

A spodziewać się należy, że liczny zastęp autorów wstąpi w szranki dramatycznych turniejów bo na brak dramaturgów w tej chwili przynajmniej narzekać nie możemy. Pan Rapacki zaprodukowawszy raz autorski swój talent sypie teraz nowościami jakby z rogu obfitości: bo oto *Wit Stwosz*, pierworodne jego

którzy uprawą roli się trudnili, i z niej składali pewne daniny w naturze; z prawem łowów po lasach do czego pomocnemi byli liczni strzelcy, psiarczyki, sokolnicy, i t. d. po oddzielnych zagrodach osadzeni li na ten cel; z użytkowaniem bobrowni, które dozorowali i rozpleniali tak zwani bobrownicy (osiedli we wsiach „bobrowniki" też zwanych) przeszedł we władanie biskupa poznańskiego. Wogóle powiada akt, biskup uzyskał w tym okręgu cały zakres władzy sądowniczej książęcej (jurisdictio secularis). Podobnie klasztorowi benedyktyńskiemu w Tyńcu, została darowaną przez Bolesława Magnusa osada tyniecka wraz z dochodem, jaki płynął do skarbu państwa za przewóz przez rzekę, oraz z karczmą. Nadto na własność Tyńca przeszli wszyscy służebnicy ze swoją chudobą (dziedzictwem) do dworskiej obsługi przeznaczeni, a dotąd stojący pod zwierzchnictwem miejscowego grodu w Tyńcu. Nadanie wymienia pięć kategoryj tych służebników jakoto: piekarze, (bednarze), łagiewnicy, kucharze, komornicy i rybacy. Czynności wszystkich są jasne i zrozumiałe—prócz może komorników, snać do posług pokojowych, bezpośrednich (pokojowcy?) na posyłki t. p. używanych. Trudnili się swemi fachami dziedzicznie, mając w zamian wyznaczone osóbne siedliska, z których kolejno na przemiany a peryodycznie, zrazu na dwór Bolesława, jeśli bawił w Tyńcu, a potem do benedyktynów przychodzili. Do tej pory, jako pamiątka tych osad ludności służebnej, pozostały dwie wsie Skotniki i Łagiewniki na prawym brzegu Wisły w pobliżu Tyńca, a trzecia Piekary na lewym brzegu wprost klasztoru położone.

Królowa (regina) Judyta podarowała Tyńcowi „książęce" (księgnicy) włości z karczmą (tabern) do którego oczywiście byli przywiązani (servi ascipticii) propinatorzy imiennie zdaje się wspomniani: Sokół i jego synowie Niedamir i Miłuj oraz Zgliza; dalej osadę „na dołku" (stąd Dolany) gdzie mieszkało czterech komorników Moris, Twor, Piotr z przezwiskiem Skrobadło i Damian. We wsi Kargowie darowała Judyta jednego piekarza Sulka, w Tukowie dziedziców czterech, to jest właścicieli dziedzicznych ziemi, od której ruszyć się niemogli, i z którą, jakby z warsztatem rzemieślnika, przeszli na rzecz Tyńca, by go żywić pewną daniną ze zbiorów swych rolnych. Jakby na dowód tego prawa dziedziczenia w niewoli, w majętnościach biskupa poznańskiego z przed 1000 r., widziemy osadę Zambacino, której nazwa wyraża posiadanie indywidualne cząstki ziemi przez jakiegoś Zęba lub Zębotę.

Obok tego w liczbie wsi książęcych, darowanych przez Judytę benedyktynom tynieckim, znajdujemy wsie o nazwiskach, które wskazują, że były zamieszkane i wspólnie (?) posiadane przez potomków, żyjącego jeszcze często, mianodawcy. Tak naprzykład jest osada Unochowice, w której mieszka z innemi Unoch; Krotowice z Krotem; wieś Cekowice znowu ma właścicieli Gniewana i Grauzona; snać mianodawca już nieżył. We wsi zwącej się Świepietniki, to jest zajętej przez bartników, znalazł się tylko jeden pasiecznik Nenomysl, czy też tylko jednego darowano Tyńcowi. W osadzie Ukolicach niewymieniając po szczególe, powiedziano ogólnikowo: „rzymieślnicy," co może oznaczać bednarzy, skórzewników (szewców), piekarzy i t d. W Dunajcu „pani Judyta" czterech swych ludzi benedyktynom odstąpiła.... Wszyscy zaś ci ludzie, ze swemi osadami w książęcych dobrach, teraz należący do kościoła tynieckiego, jemu zamiast rządcom kraju mieli składać dań (tributum) stróżę i pomocne (wszelkiego rodzaju opłaty pieniężne, wedle określenia tegoż samego aktu).

Wedle późniejszego dodatku, z początku XII wieku, zajęcia tej ludności książęcej tak są scharakteryzowane. Co roku powinni gacić płoty na osiem łokci długości, około dwu domów posunąć robotę na czternaście łokci. Każden z tych ludzi obowiązany pięć kop zeżnąć i zwieść do gumna, oraz pięć fur siana skosić i sprowadzić. Ilekroć zdarzy się potrzeba, stawać do Tyńca z podwodą, dziesięciny coroczne zbożowe młócić i do klasztoru dostawiać. Cztery dni na rok mają wychodzić w pole do orki i motyki, składać z każdej osady po garnku miodu na rok i cztery wiewiórki. Za kradzież trzy garnki miodu złożą....

(*D. c. n.*)

NATURA WILKA CIĄGNIE DO LASU.

MONODRAMAT

WIERSZEM NAPISANY
przez
JÓZEFA GRAJNERTA.

(Scena przedstawia krajobraz wiejski).

Artystka dramatyczna.

(wchodzi w podróżnym, letnim ubiorze, zwijając wianki).

— W zaciszu wiejskiem, zdala od miejskiego [gwaru,
Szczęściwa! dziś oddycham wolniej wśród ob- [szaru
Wdzięcznej przyrody. Jakżeż pysznie ustro- [jone
Te pola i te błonia; jak zasięgnąć okiem
Niebo tu z ziemią w jednę splata się koronę,
A fale kłosów szumią powabnym urokiem.
Cóż to za wielki obraz zawieszon na ziemi!
Łąk szmaragdy, zbóż złoto, błyszczą wód [opale....
A tam słońce—kandelabr z obłoczki białemi
Tło ziemi grzeje, zdobi, cieniuje wspaniale!
Gdzież malarz, coby zdołał na tle swych kar- [tonów
Oddać przepych, grę światła tych złotych [wierzb, klonów?
Szumcież, gaje nadwodne! mnie tu z wami [milej,
Niż tam, wśród martwych płócien teatralnej [sali,
Gdzie się dekoratora pędzel na to sili,
By widzów otumanić w perspektywnej dali;
Jakże wątłym jest przy was ten płód omamie- [nia,
Te drzewa, gaje, wody na płótnach kurtyny;
Czyż w takie się tam blaski i barwy spromie- [nia
Owo cudo maszynek, balet Meluzyny?
Och! tutaj w morzu blasków, w oceanie woni
Zraniona pierś, balsamem zbawczym się na- [poi,
Myśl wolna od trosk ziemskich, blask eterów [goni,
I w zachwyt się otęcza u niebios podwoi...
Tam, dość już przeszłam drogi po cierniach, [zawodach;
Dusza się niegdyś rwała z powszedności zda- [rzeń,
Wiem, jak krwawy chrzest sztuki,—byłam na [jej godach...
Cóż z tego?—gdzie mój spokój, gdzie nić zło- [ta marzeń
O pogodnej wielkości?... Zamiast wiecznej ró- [ży,
Lica zimne, las cierni spotkałam w podróży...
Tak, sztuka iść z naturą o lepszą nie może,
Tu wszystko koi, słodzi, uspakaja duszę,

---

dziecię, nie ujrzał jeszcze światła teatralnych kinkietów, a już dwa nowe dzieła wykończył i zamierza je pokazać światu. Pierwszem z nich jest dramat jedno-aktowy p. n. *Horoskop*, drugiem, również dramat, ale większych rozmiarów, zatytułowany: *Gwiazdarz* a osnuty na historyi żywota Mikołaja Kopernika.

Dalej p. Kazimierz Zalewski, autor cieszący się dotąd na scenie naszej świetnem powodzeniem komedyi *Z postępem*, wykończa nowy utwór, wesołą komedyą w pięciu aktach, prozą, p. n. *Przed ślubem*.

Pan Edward Lubowski, po *Nietoperzach*, na których dotąd, pomimo trzynastu przedstawień, trudno docisnąć się o bilety, napisał większych rozmiarów komedyą: *Gonitwy*, której znawcy, mający sposobność jej słyszenia, wielkie oddają pochwały. Autor tymczasem nieczekając chwili, w której dzieło swoje ujrzy na scenie wziął się już podobno do pracy nad nową komedyą, której głównym celem ma być wesołość, a głównym środkiem jej osiągnięcia—złoty humor.

Obok warszawskich dramaturgów i inni także nie próżnują i tak: Jan Aleksander hrabia Fredro (syn) napisał nową komedyą pięcioaktową: *Wielkie Bractwo*, która wkrótce ma być przedstawioną we Lwowie, a bawiący obecnie w Warszawie autor znanego na scenie naszej *Synalka*, hr. Wincenty Borkowski przywiózł ze sobą najświeższy swój utwór, także pięcioaktową komedyą p. t. *Nasi*. Tak więc widzimy, że dramaturdzy nasi nie próżnują i teatr będzie miał dostatek sztuk oryginalnych, które zapewne wystawi w przyszłym sezonie zimowym bo teraz wiosna, choć nie koniecznie ciepła, ale zawsze zajrzała już w nasze okienka. Pora obecna najmniej sprzyja widowiskom wszelkiego rodzaju za dowód czego posłużyć może ta okoliczność, że cyrk Salamońskiego, po tygodniu zaledwie pobytu w naszem mieście zaczyna już przeświecać pustkami.

Dyrekcya teatrów powziąła podobno, ze wszech miar godzien pochwały, projekt urządzenia feryi letnich w ciągu jednego miesiąca dla dramatu, w ciągu drugiego dla opery i baletu. Byłby to czyn słuszny i sprawiedliwy, kiedy bowiem pierwszorzędne gwiazdy corocznie korzystają z kilkomiesięcznych urlopów inni, skromniejsi pracownicy sceny nigdy nie miewają wypoczynku, a i im przecie należałaby się chwila wytchnienia po pracy.

Tymczasem owi ptakowie wędrowni, co to lato spędzają u wód a jesień w morskich kąpielach, myślą już o odlocie ze swoich gniazd rodzinnych. Dla ludzi bardziej skromnych wymagań i środków materyalnych, którzy pomimo to lubią odbyć podróż i coś z niej skorzystać, pan Osiecki z Wiednia ogłasza, iż w roku bieżącym urządza wyprawę do Neapolu, połączoną z dokładnem zwiedzeniem wszystkich znaczniejszych miast włoskich. Wyjazd z Wiednia nastąpi dnia 12 maja, cała podróż trwać będzie jeden miesiąc, a koszt jej wagonem drugiej klasy, z mieszkaniem, życiem, przewodnikami i t. d. wyniesie tylko rsr. 220. Doprawdy, dla zwiedzenia tych wszystkich cudów natury i sztuki, w jakie obfituje cudna Włoch kraina warto się zdobyć na podobny wydatek. A więc panowie turyści życzę wam szczęśliwej podróży i żegnam was... aż do następnej pogadanki.

Tam świat zmyśleń skarb uczuć wiedzie na [rozdroże,
Tam śmiać się trzeba nawet, choć w sercu ka- [tusze...
Zrazu w maskę ubrana Momusa dwulicą,
Krępując trwożne stopy sukkusami Talii,
Miałam być na wpół śmieszną, wpół czułą [dziewicą.
Na mój debiut komedyą *Broń Niewieścia* [grali.
Drżałam, idąc na scenę z wybieloną twarzą,
Płacz zmyśliłam wybornie, bo aż łzy serdeczne
Bielidło mi zmazały, choć tak grać nie każą:
Płacz w roli ma być inny, nie tak jak słoneczne
Promienie ciepły, ale—jako próchno w nocy
Dziwnie zimno ma błyszczeć, bez ognia i mocy.
Nie zdobyłam oklasków licznej publiczności!
Nazajutrz... Ach! dziś jeszcze ranę w sercu [czuję,
Napisano krytykę na mnie bez litości
W kilku naraz gazetach: „Że nic nie pracuję,
Że się mam jeszcze uczyć ruchów, deklamacyi.
Że z naparstkiem i igłą, lub z szydełkiem mogę
Iść po wieńce wielkości na właściwszą drogę,—
Lecz palmy nie mnie rosną w sztuk reprezen- [tacyi.“
Jako ptaszę, gdy skrzydło postrzelą mu [w locie,
Spadłam z pod chmur na ziemię, z wielką w sercu raną.
Więc przy łonie matczynem pierś gojąc strza- [skaną,
Marzyłam „Raj stracony“ w bolesnej tęsknocie.
Za poradą Zoilów rzucam raj nieścigły,
I rączo się zabrałam do haftu, do igły.
Lecz niestety! z przed wzroku kanwa się mi [kryła
W jakiejś głębi bezdennej... Patrzę, aż z ot- [chłani
Wychodzi do mnie zwolna blada, wzniosła [pani:
—„Jam *Dejazet!* z daleka do ciebie przybyła
Wraz z *Rachelą* dziedziczką mej scenicznej [roli,—
Będziem się razem śmiały z twej śmiesznej [niedoli.“
Potem weszła *Ristori*, *Ledóchowska*, za nią
Przyszła i *Halpertowa*,—a każda z nich panią
Groźną mi była; wieńce zdobiły im skronie,
A jasnemi sztylety wstrząsały ich dłonie,—
I dziwnie szydnym śmiechem wykrzywiając [twarze,
Wytykały mnie palcem! Nawet Halpertowa,
Głową smętnie kiwając, rzekła mi: „Bądź [zdrowa!“
Takie, bywało, smutne widziadła już marzę.
Lecz niedługo mi dano balsam pić domowy:
Znać, w duszy mojej ognia część się tliła tego
Jaki zdobył Prometej w sferze Jowiszowej;
Więc dyrektor teatru przysłał Merkurego
W postaci sekretarza, prosząc, bym z areny
Jego nie zeszła, że mnie w niebo Melpomeny
Zawiedzie, jeśli wzmogę się pracą, nauką.
Usłuchałam i znów się pojednałam z sztuką.
Piłam z jej boskich źródeł słodycz ideałów;
Lecz im więcej z tych nurtów kastalskich czer- [pałam
Nektarów, tem w mej duszy żar większy upa- [łów
Powstawał, tem zawody sroźej przebolałam...
Zbierałam wreszcie wieńce, nie tak jak te [polne,
Które z kwiatów natury w błogiej ciszy wije,
Z których piją miód pszczółki, motylki swa- [wolne,
I któremi wraz z ludem uwieńczę Maryę
W tej kapliczce nadwodnej.—Święta ciszo wio- [ski!
Dokoła ciebie jaśni obraz myśli boskiej
Piękny, dobry, prawdziwy, ze skarbnicą łaski,
Bez płaszczyka obłudy, kłamstwa zwodnej [maski,
Bez goryczy zazdrosci, bez walk, bez zmien- [ności
Usposobień, humoru teatralnych gości...
Wobec tych cudów bożych, tych sielskich [powabów,
Jakże niski, jak zimny świat miejskich g e l d- [h a b ó w!
Niech mieszkają w nim sługi, aktorzy i pany,
Ja nie chcę już powracać w ten świat pobie- [lany
Sztuczną barwą, bez prawdy,—nie będą me [stopy
Więcej desek deptały w koturnach tragicznych.
Tu bujną myślą biegnąc pod gwiaździste stropy,
Swobodna, wolna, wpośród widoków prześlicz- [nych,
Marzyć będę o pięknie wiecznym ideale.
Dotąd sferą duszącą teatru owiana,
Sztuką tłumiąc kwiat serca dziewiczego, stale
Odtrącałam zabiegi bogatego pana
O mą rękę.—Dziś, czemu?... Wszak to ludzka [przecie
Rzecz, być mężatką, z mężem zabłyszczeć na [świecie,
Wieść życie niemącone wirem walk scenicz- [nych,
Zdaleka od tych żywych masek sardonicznych,
Nie wlewać życia swego w autorskie androny,
Dziś aniołem być, jutro wdziać larwę Gorgony,
Lub wziąwszy na się postać jakiej Makbet [krwawej,
Ręce ze krwi obcierać—dla widzów zabawy!
W pałacu mieszkać wolę wspaniała, bogata,
W zażyłości z przyrodą wieść rozkoszne życie,
I zapomnieć o troskach aktorskiego świata.
Dość tylko jeden uśmiech mój posłać na swaty,
Jedno słowo życzliwe, a mój pan bogaty
Miłość swoję mi u nóg dziś złoży w zachwycie.
Pamiętam... wystąpiłam w sztuce Eurypida,
W postaci Ifigenii. Ach! dramat to wzniosły;
Wojenną brzmiała wrzawą przymorska Aulida;
Agamemnon, mój ojciec, śle Achilla w posły
Do mej matki, by córkę ofierze zjednała;
Gdyż tylko przez śmierć moję naw Argiwskich [żagle
Mogą, płynąć zwycięsko. Tak Dyana chciała.
Jam ledwo na różane ścieżki weszła, nagle
Krwawą drogą pójść muszę w straszny cień [Erebu!
Mogłam za takie fatum wściekłość bryznąć [niebu,
Lecz zniosłam wielkodusznie dolę mi zsądzoną.
Więc matcem pożegnanie wzniosłe wygłosiła,
Ufna w szczęście narodu, także zazdroszczono
Mi śmierci, bom ja córką bohatera była!
Oklaski grzmotem w sali rozległy się całej,
I wśród deszczów kwiatowych padł bukiet [wspaniały
Z rąk mego wielbiciela, z loży parterowej,—
Miał szarfy jak bandery!—ha—ha! jak snop [duży,
Że córka bohatera w pracy Syzyfowej
Ledwiem go za kulisy zdoła wytoczyć.
A choć tam błysnął nawet i brylant przy róży,
Nic jednak nie pomogło: mój Romeo—niby,
Nie zdołał mego serca kwiatami omroczyć;
Lecz wytrwałość Ulissa miał: często swe stopy
Kierował pod me okna, zaglądał przez szyby,
A jam dłań mieć nie chciała uczuć Penelopy!
Dziś w duszy mej błysnęło co innego prze- [cie...
Wprawdzie Saturn na głowie już go śniegiem [darzy,
I pługiem czoło zorał,—lecz to fraszka w świe- [cie!
Na szali szczęścia tytuł, pieniądz też coś waży.
W pałacu mieszkać będę strojna, wśród prze- [pychu,
W garniturach z brylantów, zdaleka od szy- [chu
Kostiumów teatralnych,—tam będą galony
Tylko dla mych lokai... Wizyty, pokłony,
Cześć głęboka sąsiadów, przejażdżki cugami,—
Mój uśmiech—to uciechy balowej podnieta...
Do teatru pojadę karetą z herbami —
Do teatru?...
Naprzykład... zobaczyć Hamleta,
I zdradzoną Ofelią—ten kwiat lubej woni,
Do kamiennych pałaców przesadzony z błoni:
Ciekawam... ktoby po mnie wziął tę rolę cu- [dną?
Te piosnki ktoby nucił z barwą tak ułudną,
Jak łzy dziecka, co żale swe z uśmiechem mie- [sza,
Gdy matka je zabawką wesołą pociesza...
Nie! roli tej przeze mnie sercem ukochanej
Nikt tam w stanie nie będzie odegrać tak pię- [knie,
Tak duszą odczuć duszę kochanki złamanej,
Tak nucić, marzyć, płakać do grobowej toni,
Aż rozum się powikła, aż i serce pęknie...
Takiej chwili przebytej w twórczych muz [ustroni
Nie nagrodzi pałaców wesele udane...
Nie! nie dla mnie to szczęcie rozkoszą spętane
Zmysłową, co treść duszy zmalałej przygniata
I za kratę rdzewiałą niby więźnia tłoczy.
Serce moje odpycha blask mamony świata,
Ono kocha prawd słońce i w uczuć przezroczy
Ma swe zwierciadło czyste, jak tu ot, w przy- [rodzie
Niebo się w niezmąconej odzwierciadla wodzie.

(*D. c. n.*)

Ludzie Pierwotni.

Kronika geologiczna.—Okres lodowy.—Atleci z wieku kamiennego.—Broń krzemienna.—Czy ludzie pierwotni znali ogień?—Dwie rasy.—Potoki diluwialne.—Postęp.—Rasa z Cro-Magnon.—Semici i ludy od nich pochodne.—Bronz i żelazo.— Rasa Aryjska.—Obyczaje ludności przedhistorycznej. — Zawiązek rodziny—Genealogia po kądzieli. — Branki wojenne pierwszemi małżonkami. — Chronologia epok geologicznych. — Człowiek władcą przyrody.

Ziemia przechowała nam w swem łonie, niewątpliwe ślady istnienia człowieka w czasach, poprzedzających historyą. — Z warstw ziemnych wielce starożytnego pochodzenia, wydobyto przeróżną broń krzemienną, narzędzia z tegoż kamienia kształtowane i skielety ludzkie, pomieszane ze szczątkami zwierząt zniknych dziś z powierzchni ziemi, jakoto: mamuta, nosorożca jaskiniowego, wielkiego niedźwiedzia, hyeny kopalnej i t. p. Obok tego na kościach tychże zwierząt, znaleziono rysunki dowodzące, że ci artyści pierwotni żyli współcześnie z ową fauną.

Groty, jaskinje i kopalnie, dostarczyły najwięcej tego rodzaju okazów. Z miejscowości tych wymieniamy główniejsze: Abbeville, Bize, Constadt, Denise, *Grotę wieszczek* w Arcy-sur-Cure, Cro - Magnon, Neanderthal, Naulette, Aurignac, Bruniquel, Mentanę, pomijając wiele a wiele innych.

Na podstawie tych odkryć, Lubbock, Faudel i Couhi, kreślą nam obrazy ziemi owoczesnej, typy ludzi i ustrój pierwotnych społeczeństw. Kronika ta zapewne jest tylko niedokładnym szkicem, wkracza często w sfery hypotez, niemniej jednak przedstawia zajmujące strony. Korzystając z prac powyższych archeologów, sprobujemy podać przynajmniej w ogółowych zarysach tę kronikę ciekawą.

Ślady trudów i walki człowieka napotykamy już w tak zwanej epoce *mioceniecznej*, wielce od nas odległej, jak to zobaczymy niżej czas jej okreslając cyframi. [1]) W następnym okresie noszącym nazwę *plioceniecznego*, śniegi i lodowce pokrywały prawie całą kulę ziemską. Nadzwyczajne zimno wpływało niewątpliwie na życie jestestw, z których jedne przetrwały ten straszliwy klimat, inne zaś wyginęły.

Żadnego szczątka ludzkiego nie posiadamy z tej pradawnej epoki—natomiast ziemia dostarczyła nam dość liczne okazy przemysłu człowieka. Olbrzymi most lodowy, prawdopodobnie łączył naówczas Europę z Ameryką, co ułatwiało człowiekowi zajęcie Nowego lądu w posiadanie. Przyjmując istnienie owego mostu lodowego, znajdujemy łatwe wyjaśnienie tego faktu, że kości ludzkie z epoki diluwialnej, znajdowane w Europie i Ameryce, wcale się nie różnią od siebie ustrojem.

Typ właściwie ludzki, występuje nierównie jawniej w końcu epoki pliocenicznej.

Po drugim okresie lodowym, świta jutrzenka wieku diluwialnego. Anglia za panowania owych olbrzymich lodowców, podwyższyła swój poziom w porównaniu z dzisiejszym do 520 stóp polskich, jak to podania geologiczne okazały.

Wkrótce potem, zalewy morza przywiodły wielką Brytanią do stanu archipelagu. Następnie ziemia ta zanurzyła się w morzu do głębokości 624 stóp pol. i w końcu wyłoniła się z oceanu w postaci wyspy.

Trudno wyobrazić sobie coś więcej smutnego i przerażającego, nad tę widownię ziemi pozbawionej pozornie życia, pozostającej pod naciskiem cieni nocnych i nadzwyczajnego zimna.

Ogromny zwierz mamut, pokryty gęstem futrem, równie jak jego zwykły towarzysz nosorożec z przedzielonemi nozdrzami, ustąpił z Syberyi gdzie żył prawie do końca okresu trzeciorzędowego, to jest do zmierzchu epoki plioceniecznej.

Obok niego niemniej rozradzał się w Europie niedźwiedź jaskiniowy, nierównie większy od dziś istniejącego, tudzież wielki tygrys i hyena kopalna. Lemingi, małe lecz śmiałe zwierzątka, dotąd żyjące w Norwegii, przebiegały rozległe obszary ziemi, przyodzianej śniegiem i lodem.

Owóż i ośrodek otaczający człowieka. W jaki sposób będąc istotą nagą i wątłą w porównaniu z olbrzymami ówczesnego świata zwierzęcego, mógł on w nim utrzymać się i wyżyć? Oto pytanie na które zrazu trudno odpowiedzieć, pomimo że współczesności człowieka z mamutami dowodzą nam wykopaliska ziemne. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na silny rozwój mięśniowy pierwotnego człowieka, na broń straszliwą jaką się posługiwał, wreszcie na jego taktykę uderzania na nieprzyjaciela zbiorowo, gromadnie—łatwo nam będzie pojąć, że mógł walczyć on wtych warunkach nawet z korzyścią, z niedźwiedziami i tygrysami.— Sile muskularnej owych ludów nie należy się tem więcej dziwić, że dziś jeszcze widzimy murzynów, dla których zduszenie lwa afrykańskiego w rękach, jest prawie fraszką.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w Europie istniała wówczas rasa ludzi silnych, nieustraszonych myśliwców, których typem jest czaszka Neanderthalska, cechująca się wielkiemi łukami brwiowemi, czołem cofniętem, i niskiem spłaszczonem sklepieniem czaszkowem. Tacy ludzie siły olbrzymiej, lwiej iście odwagi, wspieranej dzielnie przez maczugę lub topór krzemienny, mogli zaiste stawiać czoło zwierzętom diluwjalnym, którym nieustępowali zresztą w dzikości. Świadectwem tego są zdruzgotane czaszki niedźwiedzi i mamutów widocznie bronią krzemienną, znajdywane w rozmaitych jaskiniach.

Bohaterskim zapasom owych ludzi z kamiennej epoki, człowiek dzisiejszy aluwialny zawdzięcza całą swą kulturę—upadek ich byłby grobem dla cywilizacyi. Rynsztunek owych rycerzy złożony z kamiennych toporów, strzał i włóczni, znajdujemy w wielu miejscowościach jakoto: w grocie Auriguac, w dolinie Somme i t. p.—

Czy myśliwcy ci znali ogień? Prawdopodobnie—gdyż obrabiając krzemień krwawiący ich dłonie, dostrzegali wytryskujące iskry, z pomocą których łatwo im przychodziło zapalić mech, jak to dziś jeszcze czynią Eskimosy. Ogień im wszakże nie był tak potrzebnym jak nam do życia. Zużycie ich zębów znajdowanych w jaskiniach przedhistorycznych, dowodzi że spożywali pokarmy w stanie surowym. Głód do wszystkiego doprowadza—nasi praojcowie geologiczni niejednokrotnie mogli być ludożercami, taką jest przynajmniej opinia profesora Schaafhausena. Zrazu mięsożerni, ludzie z kamiennej epoki zaczęli się żywić roślinami. Obok rasy doliny Renu, której czaszka z Neanderthal jest typem, istniała rasa reprezentowana przez ułamki skieletu z Naulette. Rasa ta była małą, krępą, ze szczęką naprzód wysuniętą, mniej silna lecz natomiast więcej okrutna. Zamieszkiwała ona groty, jamy podśnieżne, przebijała lód czatując na ryby, pełzała w jaskiniach poszukując zdobyczy.

Potomkowie tych ludzi zamieszkiwali już ziemię mniej smutną i bezludną, rozrodzili się bowiem na liczne pokolenia, któremi dowodził mąż najsilniejszy i najbitniejszy. Według Tylora, ludzie ci byli niższego usroju od dzikich tegoczesnych—słuchali jedynie głosu swych namiętności.

W skutek przeludnienia, jakie musiało nastąpić wywiązała się walka o byt; wówczas to ludzie ówcześni sypali szańce i okopy, wynajdywali broń przeróżną dla zapewnienia sobie tryumfu.

Z tych ludzi wyjdą kiedyś rasy semicka, aryjska i inne.

Po ustąpieniu lodowców, potoki wód z nich pochodzące unosząc z sobą żwir, piasek i t. p. zapełniły szczeliny, podziemne jaskinie i wytworzyły dzisiejsze doliny.

Świat epoki diluwialnej cechuje się właśnie tem działaniem wód, o których rzeki tegoczesne nie mogą nam dawać żadnego wyobrażenia. W tymże czasie klimat Europy stopniowo stawał się łagodniejszym.

Zimno i niewygody rozwijały zręczność i siłę człowieka. W tej to epoce dają się widzieć pierwsze próby jego przemysłu i sztuki.

(*D. c. n.*)

[1]) Miocen należy do utworu trzeciorzędowego, którego grubość dochodzi 3,000 stóp—utwór ten składają jeszcze warstwy *eoceniczna* i *plioceniczna*—pierwsza poprzedza, druga następuje po miocenie. Następnie idą pokłady czwartorzędowe *diluwialne* i *aluwialne*. Od pokładów nazwano odpowiednie im epoki *trzeciorzędową* i *czwartorzędową*. Żyjemy dziś w epoce aluwialnej.—O poprzednich okresach geologicznych nie wspominamy, gdyż nie wkraczają do zajmującego tu nas, przedmiotu.

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dokończenie).

Dlatego też starsze rodzeństwo patrząc na braciszka lub siostrzyczkę uczących ich rozmaitych gier, z westchnieniem myśli: „I dla czegoż nas mama nie posyłała do ogródka? Jaką wartość mają dla nich wszystkie drogie zabawki, stojące w szafce za szkłem i rzadko kiedy im pokazywane, w stosunku do kawałków tektury, różnokolorowego papieru i pałeczek drewnianych, z których młodsza siostrzyczka lub braciszek, takie piękne rzeczy układać umieją?

A matka patrząc w cichości, na to ożywienie, a szczególniej spokojne zachowanie się małych urwisów, myśli, że dobrzeby zrobiła, gdyby poszła sama, do podobnego ogródka, nauczyć się umiejętnie wychowywać dzieci.

Tak, młoda matko, pójdź tam i przypatrz się uważnie postępowaniu ogrodniczki ze wszystkiemy dziećmi.

Froebel wzywa cię, żebyś przypatrując się wykonaniu jego przepisów poznała, że nie rózga i pokuta powinna kształcić twe dziecię, ale ciągłe zajęcie się niem. Niedozwalać mu psuć i niszczyć zabawki, znaczy skierować jego umysł na coś praktyczniejszego i więcej interesującego, niż dochodzenie, co się znajduje, w tekturowej głowie lalki.

Zarzucają, że pobyt w ogródkach robi dzieci zanadto skłonnemi do zabaw?

Prawda, że uczą tam rzeczy takich, z któremi szkoła nie wiedziałaby co począć? Ale cierpliwości, czas przeistoczenia systemu szkolnego jest bliskim i da Bóg, że się prędko uskuteczni.

Ty zaś, młoda matko, nie lękaj się; dopók

dziecię twe jest wesołe, zajmuje się z ochotą zabawami ogródkowemi, dopóty choćbyś nawet o jeden rok opóźniła nauki szkolne, nie przyniesie mu to wielkiej straty, a zyska ono nieskończenie, na zdrowiu, rozwinięciu sił fizycznych i praktycznem zajęciu.

Tak samo jest z zarzutem, że ogródek Froeblowski, za mało wykształca ducha religijnego w dzieciach.

Pozwólcie zapytać się, jak zaczynają dziatki swoje zajęcia i jak je kończą? Oto śpiewają modlitwę. Jakie powiastki, im ciocia Rózia lub Andzia opowiada? Powiastki ze starego i nowego testamentu; czyż to zajęcie nie jest zajęciem religijnem? A samo przebywanie z tą piękną naturą, czyż nie podnosi ducha do Boga? Czy dziatki nie pytają się ogrodniczki i któż to te piękne kwiaty stworzył? Kto słońce nad głowami naszemi zawiesił? I czegoż więcej chcecie? Co możecie wymagać od dzieci 5-cio i 7-mio letnich?

System Froebla, ma wpływ, nietylko na dzieci, ale i na ogrodniczki. Pomimo swego ciężkiego powołania, któremu poświęca często zdrowie i siły, spojrzyjcie na jej twarz uśmiechniętą i spokojną? Stała się ona kapłanką dzieciństwa, a świątynią jej są serca dziecięce, nad któremi pracuje, które naucza i uwielbia.

Wasze zaś powołanie, matki, jest bez porównania świętsze i piękniejsze. Ogródek Froeblowski, nie odbiera ci dziecka, owszem on ci je kształci i oddaje lepszem, czulszem i posłuszniejszem.

Od was zależy, dalej prowadzić ten sposób wychowania i biorąc przykład z naszego mistrza, niezmordowanie uprawiać tę żyzną rolę, zasiewać na niej dobre ziarna.

Ogródki dziecinne, nietylko, w domach zamożniejszych, dobry wpływ wywierają; największem błogosławieństwem stają się one dla biednej klasy; dziecię powróciwszy do domu z radością, podobnie jak rodziców bogatych, opowiada rodzinie, o grach i zabawach, których się w ogródku nauczyło. Rodzice często kłócący się między sobą, słuchają z upodobaniem opowiadania chłopczyka, z przyjemnością przypatrują się robotkom przez niego do domu przyniesionym.

Dziecko prosi, o nożyczki i kawałek papieru, wycina najrozmaitsze figurki i o dziwo, ten sam chłopczyk, który ciągle właził w drogę—ruszał wszystkie przedmioty, psuł co tylko mógł wziąć w rączkę, dziś siedzi spokojnie w swoim kąciku, układa kawałki drzewa, wycina z tektury pudełka i inne przedmioty, potem śpiewa ładną piosnkę dziecinną, rodzice i starsze rodzeństwo wtórują mu i tym sposobem, pokój zostaje zachowany, przez dzień cały, w tem małem ubogiem ustroniu gdzie przedtem słychać było tylko łajania, krzyki i narzekania przerywane płaczem, bitych i popychanych dzieci. Przyznajcie drodzy czytelnicy, czy ogródek Froeblowski, nie jest i tu, największem dobrodziejstwem?

A teraz przebiegliśmy myślą cały pierwszy peryod wieku dziecinnego, od kolebki, aż do szkoły; kończąc ten skrócony przegląd metody Froebla, pozwolimy sobie wyjawić nadzieję, że przyniesie on korzyść niejednej rodzinie. Zachęcaliśmy tu przedewszystkiem rodziców i nauczycieli do miłości dla dzieci, a nie do bicia, karania i pastwienia się nad niemi.

Pestalozzi pierwszy powziął myśl zakładania szkółek wiejskich dla małych dzieci do lat 7-miu, Froebel ją uskutecznił, zakładając dziecinne ogródki i skreślił plan dalszego postępowania, co do wychowania młodzieży. Do jego uwag, łatwo jest się zastosować i dalej rozwijać jego system, którego skutki najdowodniej się pokazały w urządzeniu zakładu dla panien chcących się trudnić wychowaniem dzieci. Tam uczą ich najwłaściwszej pedagogiki i to pedagogiki podług systemu Froebla. Po skończeniu kursu naukowego, przepędzają one rok w jednym z ogródków dziecinnych gdzie praktycznie się uczą tego wszystkiego, co im w szkole, w teoryi było wykładanem.

Byłody do życzenia, ażeby i klasa bogatsza, nie potrzebująca pracować na chleb powszedni córki swoje przez jakiś czas do podobnego zakładu posyłała; wyszedłszy za mąż, te panienki, umiałyby już obchodzić się z dziećmi, nie zostawiały by ich na łasce służących a kochając znalazły by zawsze drogę do ich serduszka. Daj Boże, żeby ten błogi wiek, jak najprędzej nastąpił.

ROZDZIAŁ DODATKOWY.

Kilka słów o niańkach.

Fryderyk Froebel, często mawiał: „Gdybym nie był Froeblem, chciałbym być piastunką!“ Słowa te dowodzą tylko, jego nadzwyczajnej miłości dla dzieci, i wykazują jak wysoko on stawiał powołanie i zajęcie niańki.

Pozwólcie mi zapytać szanowni czytelnicy, czy społeczeństwo w ogóle zapatruje się na to, tak, jak zapatrywał się nasz mistrz?

Jakie niańki widzimy na spacerach i w ogrodach publicznych? Są to po większej części, albo dziewczyny po lat 15 lub 16, lub staruszki, którym nadeszła pora odpoczynku i które, nie uzbierawszy sobie żadnego kapitaliku, są zmuszone szukać łatwego kawałka chleba i znajdują go w zajęciu się małemi dziećmi. Te ostatnie, niemając sił i ochoty do zajęcia się dziećmi powierzonemi ich straży, pieszczą je, pozwalają na wszystkie psoty i tym sposobem, niczem się do ich wykształcenia nie przyczyniają. Pierwsze zaś, najczęściej pochodząc ze wsi, najprzód nie umieją mówić, przez co dzieci się uczą dialektu gminnego, powtóre rzucone w świat przez rodziców, dla zarobku: „żeby dziewucha, dłużej chleba darmo z chałupy nie wyjadała,“ wstępują do służby do państwa, gdzie z początku trzeba je wszystkiego uczyć, po kilku miesiącach, w czasie których, tłuką niepomierną ilość naczynia zaczynają się źle prowadzić, co szczególniej w miastach zwiększając się coraz bardziej, robi je, najzupełniej niesposobnemi do służby.

I takim osobom powierzamy, nasz skarb najdroższy—dziecię?

Gdzie tu szukać miłości i pieczołowitości ze strony rodziców, którzy odważają się dzieci swe wystawiać na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa moralne i fizyczne z błahej przyczyny, że dziewczyna ze wsi mniej kosztuje niż porządna niańka.

Więc dla oszczędzenia kilku złotych, narażacie zdrowie i moralność dzieci waszych? O matki, gdzie wasza miłość i troskliwość dla dzieci? o czy nie lepiejby było oszczędzić te parę złotych na czem innem naprzykład na wykwintnej tualecie lub jakiej innej przyjemności? niż skąpić dzieciom waszym, dobrego dozoru!

Pomijając i to, że dziecię, nigdy nie nabędzie szlachetnego i eleganckiego znalezienia się, jeżeli nie widzi tego z samego dzieciństwa, Froebel dobrze mawiał: „że często człowiek wyższy pod każdym względem, zasłużony ojczyźnie i społeczeństwu, nie może się pozbyć, nierozsądnych, zabobonów, których się od nianiek nauczył.“

Kształcenie młodych dziewcząt na piastunki, w oddzielnych zakładach, zaradziłoby temu złemu; moglibyśmy wtedy wymagać od nich, doskonałego spełniania swych obowiązków, a co więcej nie narażalibyśmy dzieci naszych, na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwo moralne i fizyczne.

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Towarzystwo podzieliło się na kółka, matrony gwarzą między sobą, panienki chichoczą po cichu, zerkając z ukosa na ogorzałych mołojców, a poważni mężowie otoczyli pana kapitana słuchając dziwnych opowieści, osnutych na tle życia obozowego, politycznego i agronomicznego. Nie potrzeba dodawać, że wtych opowiadaniach pana Kapitana nie było tyle prawdy, ile fantazyi i krasomówczego zapału, ale poczciwi zaściankowicze słuchali z głęboką wiarą, a pan kapitan w ich przekonaniu, był osobą o wielerozumniejszą i doświadczeńszą, nawet od ex-prezesa Gzubskiego, i exmarszałka Sapajły. Odrazu tedy zaczęli tytułować pana kapitana pułkownikiem, i ten awans wydał im się tak naturalnym i koniecznym, że uważaliby za zbrodnię, mianować inaczej pana Władysława.

A pan Marek przyjmował jeszcze na ganku panią Sędzinę Bociankiewiczowę, wdowę, z synem i dwoma córkami, dziedziczkę Bagienka i Zabłoconej Wólki—pana Jacentego Wścieklickiego z Szalejówki—państwa Płakalskich z Trzęsionego i inne kwiaty, łodygi i liście okolicznego obywatelstwa.

Gdy szary zmrok zapuszczał ciemną zasłonę na malownicze okolice Wólki, całe towarzystwo było zgromadzone w komplecie, a gospodarz wmięszał się do grona gości — kielichy krążyły gęsto nietylko pomiędzy mężczyznami, ale nawet eteryczne boginie kanapy, maczały różowe usteczka w ożywczym płynie, wynalezionym przez Noego w okolicach Araratu, uprawianym w Węgrzech, fabrykowanym w Kozienicach, a sprzedawanym we wszystkich miasteczkach Podlasia.

Przy trzech stolikach grano w karty. Jeden z panów Bociankiewiczów grał na fortepianie mającym nierównie więcej lat wieku niż klawiszów, a chociaż niektóre struny tego instrumentu dotknięte były nieuleczonem kalectwem, chociaż lewy pedał piszczał niemiłosiernie za najlżejszem dotknięciem a pan Bociankiewicz nie grał tak jak Liszt lub Rubinsztein, niemniej jednak nikt nie mógłby zaprzeczyć że *muzyka* była.

A taka przytem panowała ochota i prawdziwa wesołość, tak zamaszyście tańczono, że kiedy pan Bociankiewicz zagrał skocznego mazura, to nawet poważna i wielce korpulentna pani presowa Gzubska nie oparła się ogólnemu prądowi uciechy i nie odmówiła młodemu panu Sapajle, który w skutek wyższych polityczno-matrymonialnych kombinacyi z uszanowaniem i galanteryą zaprosił ją do skocznego tańca.

Kroniki powiatu twierdzą, że był to jeden z głębiej i praktyczniej obmyślanych planów młodego Sapajły.

Mówią, że „przez świętych do Boga, przez ludzi do ludzi,“ dla czegożby nie można przez mamę do papy, i czyżby nienawiść naczelników rodzin nieprzyjaznych, nie mogła być skruszoną przez łagodny i miękki wpływ wszechwładnej woli kobiecej.

Wy mieszczuchy, którzy grymasicie, gdy wam w obszernych salach resursy gra wyborowa orkiestra, wy znudzeni paniczykowie, szukający Bóg wie czego i goniący za niczem, wy którzy umiecie ziewać i nudząc siebie nudzić

niemiłosiernie drugich, idźcie na Podlasie, idźcie do Wólki, a zobaczycie jak się ludzie bawią i weselą.

Wprawdzie młodzież tamtejsza nie ma na nosie szkieł, i nie jest tak idealnie wybladła, panienki nie malowane i bez piramidalnych koków na głowie, orkiestra nie wyszukana, ale jakaż tam wesołość, i jak się ona naturalnie objawia.—Kiedy idzie mazur, to aż się szyby trzęsą, i aż „ziemia dudni!"

Ciepło mierzy się termometrem, aksamit łokciem, a zabawa towarzyska usposobieniem kanapy. Bądźcie przekonani, że jeżeli matrony na kanapie drzemią zabawa idzie ospale i leniwo, jeżeli tylko ziewają, to już lepiej, ale gdy same ożywią się i przyjmą czynny udział w zabawie, to możecie być pewni, że wesołość doszła do swego maximum.

Tak też było i w Wólce, pani prezesowa, marszałkowa, sędzina, pani Płakalska i sama nawet pani Markowa, przypomniały sobie dawne czasy i tańczyły na zabój, jak to było za lepszych wiosennych dni życia...

Może w owej chwili nie jedna z nich przypomniała sobie jaki przyjemniejszy epizod z własnego życia, niejednej z nich serce przyspieszonem uderzyło tętnem, a przez myśl przebiegła przelotna uwaga, że za owych czasów inna była młodzież.

Tę ochoczą zabawę i reflekcye matron na temat zmiany czasów i ludzi, przerwało uprzejme wezwanie gospodarza do kolacyi.

Była to już godzina blisko druga z północy niedługo na szarym horyzoncie miała zabłysnąć jasna zwiastunka przedświtu, koguty piały na grzędach, a w oknach dworku jaśniały rzęsiste światła, oblewając różowym blaskiem biesiadników, zgromadzonych przy wspólnym stole wieczerzy.

Pan kapitan Iskrzycki powstał z krzesła, i napełniony kielich wznosząc do góry, rzekł:

— Panowie! obywatele i sąsiedzi zacnego a ukochanego mego szwagra! W imieniu gospodarza tego domu, niech mi wolno będzie podziękować za zaszczyt jakiście mu sprawili, gromadząc się tak licznie w tem miejscu, gdzie obecność Wasza tak bardzo pożądaną była.

— Panowie! wielu z was piastowało wysokie obywatelskie urzędy...

Na twarzach pana Gzubskiego i Sapajły, przemknął lekki uśmiech zadowolenia.

— I ze wszystkich włożonych na was obowiązków, wywiązywaliście się godnie, i nie zdradziliście położonego w was zaufania...

Szmer zadowolenia ogólny.

— Dzisiaj, gdy ważna kwestya dla rodziny Chojnowskich rozwiązuje się pod tą niziuchną strzechą, umyśliliśmy wezwać rady waszej, a światłe zdania ludzi zacnych i praktycznych przyjmiemy z wdzięcznością.

Niektórzy z obecnych chcieli już płakać.

— Przedewszystkiem jednak, panowie, zanim przystąpimy do systematycznego zbadania kwestyi, pozwólcie, abym tym oto kielichem spełnił zdrowie zacnego obywatelstwa powiatu w ogóle i zdrowie obecnych w szczególności.

Tu pan Iskrzycki zatrzymał się i kielich do dna wychylił.

— Wiwat pułkownik Iskrzycki!

— Wiwat kochany pan Marek!

— Wiwat! niech żyje!

Pan Sapajło korzystając z zamieszania, uchwycił kielich i uprzedzając podobny zamiar prezesa Gzubskiego, zawołał:

— Panie pułkowniku! Takoż nie ubliżając nikomu, jużmy różne różności widzieli, a w siakich i takich cyrkumstancyach bywszy, dziwnego dziwa napatrzyli się dosyć, a jak nad Lidą, tak i tutaj nad Krzną, która wyschła, chociaż sam pan prezes Gzubski most na niej budował, zawsze byliśmy gotowi dla sąsiadów do rady, i nigdy nie odmawiali serdecznym zaproszeniom...

Pan prezes nie wytrzymał i korzystając z tego, że Sapajło odchrząknął, zabrał głos, nie pozwalając antagoniście dokończyć.

— Szanowny marszałek Sapajło, chociaż nietylko na Krznie ani na Lidzie mostu nie stawiał, ale nawet grobli zepsutej w Patykach Wielkich nie każe zreperować, i koniom nogi łamie w całej okolicy, dosyć trafnie wyraził myśl wszystkich obecnych tu ziemian;—tak, jesteśmy gotowi służyć na każde żądanie łaskawych państwa Chojnowskich, i co będzie w naszej mocy....

— No, rzekł pan Sapajło, tylko już ta grobla w Patykach, nie w mocy paną prezesa i ja....

— Panowie, rzekł proboszcz, nie chciejcie psuć harmonii i zgody... przecież nie o groblę tu idzie...

— Tak, rzekł pan Iskrzycki, idzie tu o tę groblę, po której młody potomek rodu Chojnowskich, powinien dojść do zaszczytów i mienia. Panowie! oto przed wami staje najstarszy syn państwa Marków, znany wam,. pan Czesław Chojnowski.

— Wstań Czesiu, rzekła do łez rozczulona pani Markowa, a na rozkaz matki, bohater nasz trzymając w prawej ręce udko indycze, a w lewej widelec, powstał, i ukłoniwszy się zajadał dalej stojąc, i nie zwracając wiele uwagi na wymowę wujaszka.

— Panowie, ta grobla pełną jest wyboi, na których szczerbią się koła, i łamią dyszle i osie człowieczego życia, a nie lada jakiej szyny rozumu potrzeba, aby ją uczynić gładką i do przebycia możliwą...

— Ależ mówi jak ksiądz, szepnęła sędzina do marszałkowej, a panowie słuchali w milczeniu.

— Przy dzisiejszych trudnych czasach, gdy za parę żyta i pszenicy nie dadzą więcej jak sześć rubli, gdy gospodarstwo skrępowane uciążliwościami źle zrozumianego postępu, nie daje nawet dziesięciu procentów z kapitału czy podobna jest myśleć, aby agronomiia zapewniała przyszłość?

— Nigdy... nigdy—odezwały się głosy.

— Kilku z panów powiedziało, że nigdy, była to uwaga trafna, i godna ludzi myślących, zaiste że nigdy. Cóż tedy pytam, pozostało dla obywatelskiego dziecka? jakaż jest nitka, która może wyprowadzić z tego labiryntu...

Wszyscy milczeli.

Milczycie panowie!... śmiem przypuszczać, że nie widzicie tej nitki... Jest ona jednak, a nią jest przemysł.

— Przemysł! powtarzano ze wszech stron.

— Badałem umysł tego młodzieńca, uciemiężony niesprawiedliwością nauczycieli, opuścił gimnazyum, gdyż duch jego może zaprowadzić go dalej, niż ciasna szkolna rutyna.

— Ukłoń się, szepnęła matka, trącając chłopaka pod stołem, skutkiem tego ten upuścił widelec, i przerwał na chwilę mowę wujaszka.

— Panowie! krótko mówiąc, poddaję światłemu sądowi waszemu pytanie, czy będzie korzystnie dla rodziny i chłopca, oddać go do cukrowni, aby tam wykierował się na dyrektora, a w przyszłości może i na właściciela tego korzystnego interesu.

— Oddać, oddać! wołano ogólnie.

— Śliczny interes.

— I może być dyrektorem.

— I może się ożenić.

— I wziąść fabrykę...

— Panowie, rzekł pan kapitan, nie znajduję pomiędzy wami opozycyi, widać że mój sposób myślenia, który został przyjęty przez rodziców, zyskuje waszę aprobatę. Panowie! pochlebia mi to i jestem wam wdzięczny.

Powstał pan prezes Gzubski i zabrawszy głos, powiedział.

— Panie pułkowniku! nietylko szczerze radzimy chwycić się tej drogi, ale nawet dzieci nasze skierujemy na nią, gdyż przekonywające argumenty szanownego pana wpoiły w nas to przekonanie, że tylko w przemyśle spoczywa przyszłość pokoleń! Dlatego w chwili obecnej nie pozostaje nam nic innego jak spełnić zdrowie przyszłego dyrektora cukrowni.

— Wiwat niech żyje przemysł!

— Niech żyje dyrektor!

. . . .

Kiedy już jasne słońce zbudziło ludzi do pracy, w pokojach dworu Wólki spoczywały matrony i dziewice, areopag zaś mężki po trudach rozmyślań, debatów i picia legł na świeżem sianku w stodole.

(D. c. n.)

ROZMAITOSCI.

Garibaldi wygotował **projekt osuszenia Rzymskiej Campanii,** słynnej zarówno ze swojej piękności jak i ze szkodliwych dla zdrowia wpływów swojego klimatu. Osuszenie bagien, otaczających Rzym, a wydających wyziewy ma być dziełem bardzo kosztownem i dlatego zasłużony generał nie przystąpił dotychczas do wykonania swego projektu. Obecnie podobno jakieś towarzystwo angielskie ofiarowało Garibaldiemu 135 milionów franków z tym jednak warunkiem, aby osuszone brzegi Tybru stały się własnością towarzystwa.

W Madrycie, w sam pierwszy dzień świtą Wielkiej-Nocy miało miejsce silne **trzęsienie ziemi.**

W Weronie robiono w tych czasach doświadczenia z **nowej konstrukcyi lokomotywą** poruszającą się na zwykłej szosie; do lokomotywy przyczepiono dwadzieścia, mocno rekwizytami artyleryjskiemi naładowanych wagonów. Próba udała się bardzo dobrze, pociąg bowiem przebiegł przestrzeń 24 wiorst mniej niż w przeciągu godziny.

Noworosyjski Telegraf donosi, że w Odessie pomiędzy średnią klasą ludności, a głównie pomiędzy kobietami powstała myśl zawiązania towarzystwa, którego członkowie wyrzekną się nazawsze używania wszystkiego, cokolwiek nosi na sobie cechę zbytku a to dla przyzwyczajenia się do oszczędności i ograniczenia swoich potrzeb.

DONIESIENIA.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 28).

Czuł odrazę do ludzi przejeżdżających w otwartych powozach lub konno, nawet do przekupek za straganami i do konduktorów od omnibusów. Wypiwszy filiżankę mętnej kawy, znów poszedł do Ś-tej Hildegardy; tam czekali na niego uczniowie parafialnej szkółki z którymi odbywał tygodniowe ćwiczenie, i dopiero po godzinie psalmów i hymmów praca dzienna została ukończona. Ciężką ona dość była i poświęcił jej czternaście godzin bez chwili wytchnienia. Nie dziw więc, że się czuł zmęczonym, nie dziw, że pragnął odetchnąć świeżem powietrzem, ale oddalił tę pokusę jak gdyby była grzechem, pchnął myśli swoje na zwykłe tory muzyczne i powrócił na swoje siedzenie przy organach.

Nieświetny był to instrument, z prostego białego drzewa polakierowanego, ze stopniowanym rzędem gładkich cynkowych piszczałek, a nie wyższy nad osiem stóp; ale chociaż nieokazały, miał swoje zalety: dwanaście głosów, którym siły nie brakło i półtorej oktawy pedałów.

— Proszę pana, zawołał piskliwy głos z za organów, czy mam już zacząć kalikować.

Temple Debenham wyciągnął z kieszeni zwój papierów, przesunął palcami po wszystkich klawiszach i powiedział:

— Tak, kalikuj Tymoteuszku, i zaczął.

Był to ów chór mnichów i żołnierzy z towarzyszeniem marsza, nad którym rano pracował. Kazał Tymoteuszkowi kalikować i Tymoteuszek, mały chłopczyna, w kanarkowych spodeńkach, rzucił się jak opętany na miechy, bo Temple Debenham, używając całej siły organów dawał mu dosyć do czynienia. Coraz głośniej odzywały się zuchwałe wyzwania żołnierzy, coraz poważniej grzmiała przestrzegająca antystrofa mnichów, a wysilenia chłopaczka zaledwie mogły wydołać natchnieniu artysty. Nareszcie zadyszany, nie mogąc się już na nogach utrzymać, upadł na swoję ławeczkę, głos zamarł w organach, jak gdyby z głębokiem westchnieniem, kompozytor wziął ołówek i kreślił uwagi i poprawki na marginesach swego rękopisu.

Była to cisza następująca po burzy i wśród niej, budząc na nowo, ale zupełnie odmiennym sposobem, wszystkie echa kościołka, odezwało się gwałtowne uderzanie o drzwi. Temple Debenham zagryzł usta, rozsiadł się na swoim stołku i dalej pisał.

— Proszę pana, — rzekł Tymoteuszek nieśmiało wyglądając ze swego kącika—jest ktoś za drzwiami.

— Niech sobie ktoś siedzi za drzwiami a ty, mój chłopcze, kalikuj.

Tymoteuszek powrócił do swoich miechów, Debenham do swego chóru i nikt nie odpowiedział natrętowi, odzywającemu się tak głośno ze dworu.

Ale jak tylko organy ucichły, na nowo, silniej jeszcze, zaczął ów gość nieoczekiwany walić w starożytną bramę i Tymoteuszek znów pospieszył na pomoc.

— Proszę pana, powiedział, czy pójść otworzyć?

— Nie.

— Ale zdaje mi się, proszę pana, że to pan Blyth.

— Kto ci pozwolił mieć swoje zdanie?

— Proszę pana... nie... niewiem, wyjąkał Tymoteuszek zmięszany.

— Jesteś tutaj, poto żeby kalikować, a nie żeby wyjawiać swoje zdanie, ciągnął dalej organista surowo. Bądź łaskaw Tymoteuszku o tem na przyszłość pamiętać.

Chłopczyna powrócił do swego kącika głęboko zawstydzony, a Teple Debenham zanotowawszy parę taktów wstał jak najspokojniej i powoli poszedł ku drzwiom.

Przez ten czas osoba stojąca za niemi, nie przestawała w nie uderzać spokojnie i niezmęczenie, mierząc swe razy z największą akuratnością. W chwili właśnie, gdy wybijała szybko ale zawsze w takt, drzwi się otworzyły i ten nowy rodzaj koncertu został przerwany.

ROZDZIAŁ III.

Dwaj przyjacieie.

Gdy się drzwi otworzyły ukazał się młody człowiek, którego Temple zaraz na progu serdecznie uścisnął za rękę. Obydwa byli w tym samym wieku i prawie równego wzrostu, a jednak trudnoby było znaleść dwie osoby mniej do siebie podobne z powierzchowności i z charakteru jak Temple Debenham i Arczybald Blyth. Znali się dobrze i nazwali się przyjaciołmi, ale nie mieli żadnego wspólnego, nietylko upodobania, lecz można by prawie powiedzieć, przedmiotu do rozmowy. Zdaje się, że ich wzajmnie przyciągało ku sobie jakieś prawo wprost przeciwne temu, które nazwane jest przez chemików powinowactwem z wyboru.

Jeden z nich był głównie i przedewszystkiem artystą, zamknięty w sobie, często zamyślony, obojętny na większą część rzeczy rządzących namiętnościami i uprzedzeniami ogółu, i jak wszyscy ci co sobie świat osobny stwarzają, mało okazujący współczucia tym co go otaczali. Drugi był owszem, z urodzenia i wychowania, prawdziwym dzieckiem City londyńskiej, zajęty interesami i znajdujący w nich upodobanie, czynny, wesoły, łatwy, do zadowolenia, łatwy też do pokierowania, i używający, a raczej nadużywający dowcipu wcale nie wykwintnego. Temple Debenham przeciwnie, posiadał żelazną wolę, cierpliwą wytrwałość w swych zamysłach i głęboką siłę charakteru, przybierającą często pozory niechęci i pogardy. Nie na tem kończyła się sprzeczność, nie ograniczała się na różności charakterów, nawyknień, umysłowego rozwoju, ale nawet wybitną była w ich powierzchowności. Byli pod względem rysów, równie niepodobni do siebie jak pod innemi względami.

W kilku słowach można opisać portret Arczybalda Blyth. Miał twarz prawie dziecinną rysy drobne, włosy jasne, wesołe oczy, prędzej niebieskie niż siwe i uśmiech najłagodniejszy. Przystrzygał swoje faworyty według najświeższej mody, kochał się w niebieskich krawatach i w jasnych kapeluszach, a przytem miał słabość do świecideł. Jednem słowem ubierał się z tą drugorzędną elegancyą, trudną do określenia, a tak odznaczającą pewną klasę ludzi. Przyjaciel naszego organisty był prawdziwym typem tej klasy. Można spotkać każdego pogodnego poranku od 1-go maja do ostatniego października, na ulicach City tuzinami młodzieńców podobnych do Arczybalda Blyth, spacerujących w niebieskich krawatach i białych kapeluszach.

Trudniejszem jest zadaniem, odtworzyć za pomocą pióra powierzchowność Temple Debenhama, a to może dlatego, że u niego zewnętrzne kształty były wiernem odbiciem wewnętrznego usposobienia. Nie był pięknym, fizyognomia jego nie była nawet uderzającą na pierwszy rzut oka, bo wyraz siły, mogący jej nadać tą cechą w oczach przechodnia, był ukrytym pod spokojną właściwą mu obojętnością. Czoło miał raczej szerokie niż wysokie i wypukłe nad oczami, tak jak czoło Hända, Bethowena i najsławniejszych artystów muzycznych. Oczy były ciemne, głęboko osadzone i pełne ognia, czasami ten ogień to gasł jakby się wewnątrz obrócił, i znów zajaśniał, jak lampa przewodnia na morzu. Dolna część twarzy była krótka i o silnych zarysach; usta przeciwnie były delikatne, wąskie, ruchliwe, trochę zaciśnięte, jak gdyby chciał ukryć mimowolną grę wewnętrznych uczuć, i chociaż uśmiech jego był dziwnie łagodnym i poważnym, miały pewien sarkastyczny wyraz. Był wysoki, szczupły, a jednak silnie zbudowany; głowę i ramiona nosił trochę naprzód pochylone, co nie było oznaką lenistwa lub słabości; zdawało się owszem, że dla niego życie było naprawdę gonitwą, i ciągle śmiało i z zapałem dążył naprzód. Włosy nosił długie, podług zwyczaju niemieckich studentów, a wąsy długie i ciemne, które zagryzał kiedy grał, spadały na jego usta. Gdy jeszcze dodamy że ręce miał długie, wąskie, giętkie, o żelaznych muskułach ukrytych pod delikatną powłoką, cerę bladą, głos dźwięczny i poważny, nie będziemy bynajmniej mieli jego portretu, tylko rodzaj opisu dający tyle wyobrażenia o jego powierzchowności, co mapa Szwajcaryi o pięknościach tej ziemi. Wiemy, że tu jest jezioro, tam dolina, pomiędzy temi górami wąwóz, że góra o tyle tysięcy stóp wznosi się nad poziom morza, i t. d. ale jakież wyobrażenie dadzą nam te miary o świetności niebotycznych szczytów, o woniejących, cienistych lasach jodłowych, o różowawych blaskach oświecających wieczne śniegi, o kwiateczkach drżących nad brzegami przepaści... Najlichszy rysunek lepiejby nas oświecił jak najlepsza mapa, i najzwyczajniejsza fotografia Templa Debenhama więcejby dla nas miała wartości, niż całe tomy wypracowanych opisów. Ale w braku lepszego, i tym portretem musimy się zadowolić.

Takimi byli dwaj młodzi ludzie serdecznie się witający na progu kościoła Ś-tej Hildegardy Męczenniczki w piękny wieczór letni.

— Przepraszam, że przerywam, powiedział Debenham.

Nowoprzybyły rzucił cygaro i wszedł do kościoła, nie czekając żeby go zaproszono.

— Mój drogi, powiedział, nie tłómacz się. Miło mi zawsze poświęcić choćby najprzyjemniejsze zatrudnienie dla twego towarzystwa.

Organista ruszył ramionami i nazad zamknął kościół.

— Pójdź dalej, rzekł, znasz drogę. Jakiegoż piekielnego hałasu narobiłeś!

— Poznałeś Chór Myśliwych.

— Bynajmniej.

— Oreście! boleśnie ranisz miłość własną twojego Pylada. Łudziłem się nadzieją, że śpiew ten porywający, wykonany, w braku godniejszego instrumentu na drzwiach za pomocą prozaicznej laski, obudzi jednak w twej duszy bratnie echo.

— Bałem się, że wybijesz drzwi, odpowiedział Debenham.

— A ja, bałem się że mój przyjaciel został dotknięty nagłą głuchotą.

Temple Debenham, który na nowo zasiadł

przy organach, mruknął niebardzo zrozumiałe tłómaczenie i prosił przyjaciela żeby usiadł.

— Gdybym sobie pozwolił usiąść na jednym z tych niebardzo wygodnych klęczników, czybym popełnił święto kradztwo, Oreście mój?

— Gdybyś mógł być roysądnym, chociażby przez pięć minut tylko, byłbym ci bardzo wdzięczny.

Nowo przybyły wyjął zegarek.

— Brakuje akurat cztery minuty do ósmej, powiedział poważnie. Obiecuję być wyjątkowo rozsądnym do jednej minuty po ósmej. Przyjmij tę ofiarę, mój kochany, jako hołd złożony na ołtarzu przyjaźni.

Organista uderzył niecierpliwie w klawisze.

— Skąd przychodzisz? zapytał po chwili. Co robiłeś dzisiaj?

— Zapytaj mnie raczej dlaczego tu jestem?

— Nie mogę być tak niegrzecznym.

— Czy być może?

— Zresztą, domyślam się. Nie masz nic lepszego do roboty.

— Wcale nie. Mam wiele lepszych rzeczy do roboty.

— Dlaczego więc?....

— To też właśnie. Dlaczego, nie będąc stworzonym, żeby wdzięki moje roztaczać w samotności, przyszedłem tutaj? Odpowiedź: dlatego, że widziałem dzisiaj Hardwicków.

— Cóż mi do tego? Hardwickowie bynajmniej mnie nie obchodzą.

— Przepraszam, Hardwickowie cię obchodzą, mój Oreście. Jakub Hardwicke niezawodnie cię obchodzi. Czy cała parafia nie należy do niego?

— Cóż z tego? Ja nie należę do parafii.

— Należysz do niej i ty i pastor i zakrystyan i szwajcar i dzieci ze szkoły; jesteście wszyscy jego wiernymi poddanymi. Nie patrz na mnie z taką dzikością. Nie wymagam po tobie żebyś mu hołdy składał. Przypominam ci tylko, że jest ojcem swego ludu i że lepiej dla ciebie, żeby był twoim przyjacielem jak nieprzyjacielem.

— Nie widzę potrzeby, odrzekł dumnie Debenham, żeby P. Hardwicke był moim przyjacielem albo nieprzyjacielem.

Arczybald Blyth westchnął rozpaczliwie, i głębokie milczenie panowało przez chwilę. Potem, spuszczając oczy i bawiąc się laską, powiedział:

— Bądź cierpliwym, Debenhamie, i pomówmy spokojnie. Była dziś mowa o tobie u Hardwicków.... i.... i, przy sposobności,.... ale doprawdy, boję się powiedzieć.

— Boisz się?

— Tak, trudno dać sobie z tobą radę. Ale myślałem, że to może do czegoś lepszego doprowadzić, a że pieniądze są pieniędzmi....

Organista zerwał się nagle.

— Niech cię kaci porwą, Arczy! zawołał prawie rozgniewany. Jakąż niedorzeczność popełniłeś w mojem imieniu? Mówże.

— Tyle tylko: Hardwicke daje jutro wielki wieczór i zamówił Thalberga do grania na nim; jak wiesz, ma zawsze zwyczaj zamawiać wielkich artystów na te uroczystości.

— Tak, tak, słyszałem to od ciebie. Mów dalej.

— Dzisiaj właśnie Thalberg telegrafował, że nie może dotrzymać obietnicy, bo go rozkaz cesarski zatrzymuje w Paryżu, na koncert w Tuileryach. Pylades będąc obecnym w chwili wręczenia telegramu zaproponował Oresta. Ja, Pylades zobowiązałem się że ty, Oreście, stawisz się zamiast Thalberga.

— Hardwickowie upoważnili mnie do ofiarowania ci dziesięciu funtów za ten wieczór i oto jestem.

Chmura przeszła po czole Templa Debenhama.

— Jakże mogą wiedzieć, że jestem w stanie zająć miejsce Thalberga? zapytał.

— Bo im o tobie rozpowiadałem.

— Doprawdy! a czy mogę się zapytać co mówiłeś?

— Powiedziałem, że jesteś niezwykłym artystą, że ciągle nowe dzieła piszesz, i że dostałeś dyplom z muzyki, gdzieś w Niemczech....

— Nic podobnego nigdy nie dostałem, akademia nie daje dyplomów, bo nie jest uniwersytetem.

— Cóż więc znaczy ten pargamin z esami floresami i pieczątkami, który mi kiedyś pokazywałeś?

— Jestto poprostu moje świadectwo.

— To prawie to samo. W każdym razie powiedziałem, że będziesz grał tak dobrze jak Thalberg, jeżeli nie lepiej i przyszedłem z ich propozycyą.

Organista zdawał się niezadowolony.

— Jestto bardzo wspaniała propozycya, rzekł ale.....

— Nie odrzucisz jej przecie?

— Nie.... to jest, nie jestem pewny. Moje położenie nie jest takiem, żebym ją mógł odrzucić.

— Dlaczego więc wahasz się?

— Dlaczego?.... grywałem wprawdzie na zgromadzeniach u Wilekiego Księcia, ale w Niemczech stanowisko społeczne artysty jest zupełnie innem, i tenu którego grywałem był Wielkim Księciem. Zawsze to stanowi różnicę.

— Mój kuzyn nie jest niemieckim Wielkim Księciem, jeżeli to chcesz powiedzieć, ale jest angielskim kupcem i gentlemanem.

— Nie wątpię że p. Hardwicke jest gentlemanem, odpowiedział żywo organista, ale jakże się będzie ze mną obchodził. Czy jak z niższym od siebie?

— Nie, nie.... naturalnie że nie, jak z moim przyjacielem, jak z artystą.

— Czy jesteś pewien tego?

— Ani na chwilę o tem nie wątpię. Ale jest Klaudya....

— Kto to jest Klaudya?

— Siostra Hardwicka, pani domu, nadzwyczajnie piękna ale okropnie dumna, i niebardzo miła, przyznam ci się. Jednem spojrzeniem umie człowieka w nicość pogrążyć.

— Wątpię żeby jej się to i ze mną udało, rzekł Debenham z uśmiechem.

— Nie znasz jej, odpowiedział Blyth, potrząsając głową. Jestto prześliczny kawał lodu, mój Oreście. Jeżeli jednak jej się nie obawiasz....

— Ani jej piękności, ani jej dumy, powiedział organista. Nie wolno mi takich rzeczy się lękać.

— Mogę więc powiedzić że przyjmujesz.

— Tak. O której godzinie?

— O dziesiątej. Raczyli i mnie zaprosić na ten wieczór. Czy razem się tam udamy, czy wolisz sam pójść?

— Zdaje mi się że, sam pójdę, jeżeli ci to wszystko jedno, Arczy. A teraz, kiedy interes skończony, czy mam ci co zagrać?

— Dobrze, ale jak zawsze z warunkiem że się do mego poziomu zniżysz. Nie mogę znieść Bacha.

— Może chcesz Gloria z dwunastej mszy Mozarta?

— Wolałbym modlitwę z *Niemej z Portici.*

— Jak ten bohater Szekspira, który, gdy mu ofiarowano najszlachetniejsze wino, wolał kufel lekkiego piwa. O Arczy, Arczy! czy się nie wstydzisz takich upodobań?

Po tej protestacyi, Temple Debenham zasiadł znowu przy organach, i przegrawszy żądaną modlitwę, przeszedł w rodzaj podobnej do strumienia improwizacyi, która bez względu na zapadającą noc, uniosła jego wyobraźnię po wszystkich zakrętach wybujałej myśli, to odbijając wesoło promienie słońca, to ginąc w ciemności, to zatrzymując się nad melodyą łagodną i wdzięczną jak leśne kwiatki, rosnące nad wodą, to uciekając i spuszczając się z nuty na nutę w dziwnym zamęcie harmonii, to wpadając w zachwycenie spokojne i marzące, jak gdyby duch niebieski tchnął nad powierzchnią wód, a nareszcie, po wielu przeszkodach i burzach, skończył uroczystym akordem, przypominającym ujście rzeki do morza. Przez długi jednak czas, nim doszedł do kresu swej wędrówki, Temple Debenham zapomniał o słuchaczu dla przyjemności którego grał niby, i kiedy skończył, spostrzegł, że kościół był pogrążony w zupełnych ciemnościach, i że Arczybald Blyth spał snem tak głębokim jak Bedreddin Hassan u wrót Damaszku.

ROZDZIAŁ IV.

Hardwickowie.

Jakub Hardwicke, właściciel pięknego domu w Londynie, nie mniej wspaniałego zamku na wsi, i parafii Ś-tej Hildegardy Męczenniczki w City londyńskiej, był człowiekiem posiadającym ogromny majątek i wielkie znaczenie w świecie handlowym i przemysłowym. Był kupcem i pochodził z rodziny kupieckiej, której członkowie mieli wielkie znaczenie w City; pomiędzy niemi, szczególnie się wsławił stryj jego, Sir Tomasz Hardwicke, będący przez czterdzieści cztery lat aldermanem i raz Lordem Majorem Londynu. Dla siebie jednak, pan Hardwicke mało dbał o obywatelskie godności; tak ich często odmawiał, że się nareszcie sprzykrzyło współobywatelom zarzucać go niemi. Ani płaszcz aldermana, ani złoty naszyjnik Lorda Majora, nie miały dla niego powabu; wolał zapłacić karę jak pełnić obowiązki Sherifa, kiedy go na tę godność obrano. Nie chciał nawet być prezesem w klubach, zgromadzeniach i na publicznych obiadach. Jednem słowem, było to jego dziwactwem, a może dumą, że mało cenił wszystkie honory tak pożądane przez obywateli City. Jedyną jego ambicyą było: wiedzieć, że podpis jego był cenionym na wszystkich giełdach Europy, że miał agentów w każdym większym porcie, i że okręty jego krążyły po wszystkich morzach.

Pan Hardwicke był jednym z tych ludzi niepierwszej już młodości, poważnych, łagodnych, trochę napuszonych, o których można powiedzieć, nie obawiając się, że zadadzą kłam temu twierdzeniu, iż do końca życia pozostaną starymi kawalerami. Miał rysy regularne, płeć świeżą, włosy gęste i kędzierzawe, chociaż już siwiejące. Chełpił się z piękności swej ręki i nogi, był bardzo trudnym w doborze obuwia i rękawiczek i w ogóle niemało dbał o zewnętrzne przyozdobienie swej osoby.

Co do umysłowej strony, pan Hardwicke posiadał średnie zdolności, i odebrał dosyć staranne wychowanie. Oddanym był do szkoły w Harrow, i tam dłużej pozostał niż zwykle synowie kupców i przemysłowców. Wiele potem podróżował, mówił po francusku z łatwością i wytwornością; lubił sztuki piękne, i był znawcą, przynajmniej co do sztuki nowożytnej. Nie miał wyobrażenia o zaletach Giotta, Perugina, albo Jana Belliniego, starał się uwielbiać Rafaela, ale miał skrytą słabość dla Carla Dolce, i nad wszystkich malarzy żywych i umarłych przekładał Meissonie-r'a. Lecz że nietylko lubił obrazy, ale je także kupował,— a kupował dzieła mistrzów tegoczesnych, pieniądze więc pana Hardwicke'a wspomagały sztukę nowożytną, zachęcały do pracy malarzy żyjących, i tym sposobem oddawały rzeczywistsze przysługi niż, gdyby ich właściciel był przejęty tradycyami najczystszego klasycyzmu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою.